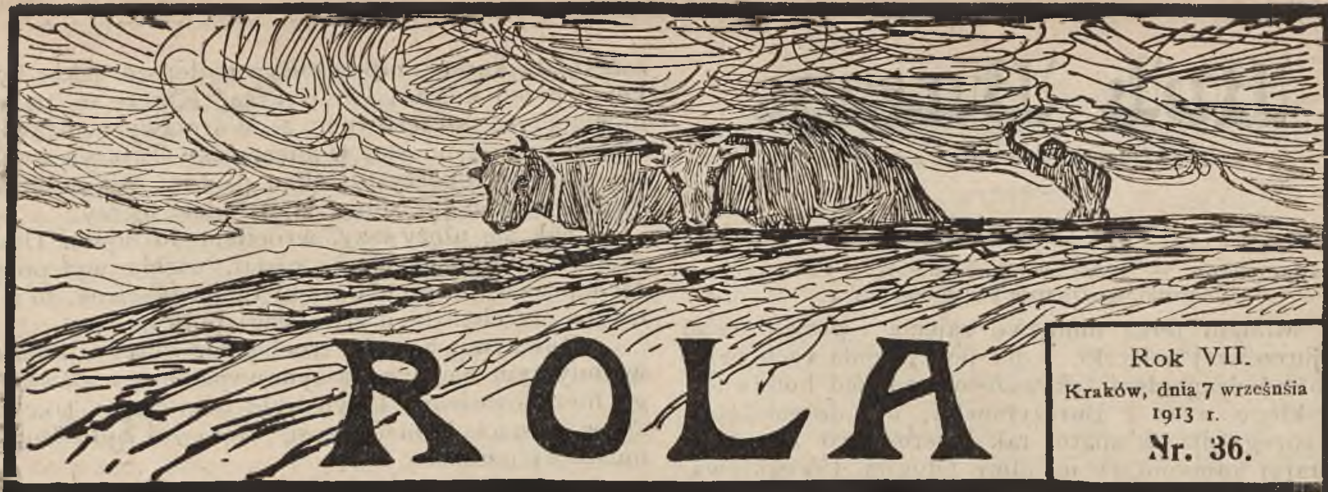


Rok VII.
Kraków, dnia 7 września 1913 r.
Nr. 36.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Przedpłata**: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

# Przed i po weselu.

Jak często widzimy młode, wesołe dziewczę, zmieniające się w krótkim czasie po zamążpójściu w kapryśną, zgryźliwą, niczem niezadowoloną młodą kobietę.

Skąd to pochodzi? — mimowoli pytamy, spotykając taką młodą kobietę, o której wiemy, że ani choroba, ani troska jej nie gnębi.

Oto życie, oto niedawno zawarte małżeństwo rozczarowało ją; za wiele oczekiwała, za wiele »marzyła« o zmianie swego życia, a przedewszystkiem, nie brała nigdy w rachunek poważnych stron małżeństwa.

— Co tam wie młoda dziewczyna — powiadają. — Tańczy, bawi się, śmieje i żartuje z przyjaciółkami, spotyka przystojnego chłopaka z jakim takim mająteczkiem, zakocha się, rodzice się zgadzają, no i zaręcza się.

— Ach! jak Zosia, Kasia, zazdrościć mi będą! — Oto najczęściej pierwsza jej myśl w poważniejszym kroku życiowym!

Czas przed zamążpójściem, szczęśliwy czas narzeczeństwa!... Zaniedbuje się pracę, dom rodzicielski, biega po spacerach, mówi się co najwyżej pobieżnie o planach na przyszłość.

Matce i ojcu dokucza się rozmaitemi żądaniami, myśli się o wyprawie i sukni ślubnej, o druchnach, o weselu, ale nie o przyszłem życiu.

A życie to przecież ważne i ma nielada zadania do spełnienia, których lekceważyć nie można.

Czuły narzeczony przychodzi każdego wieczora, choć często jest zmęczonym po dniu pracy, ale i tego w rachubę się nie bierze. Nieraz też ma poważne jakieś zagadnienie na sercu, z któremby się chciał z narzeczoną i z jej rodzicami podzielić, jednak — brak mu odwagi, nie śmie przerwać wesołości, roztrzepania wesołej istotki.

Przygotowania do wesela, spraszanie koleżanek na druchny zapełniają czas narzeczeństwa, później wesele, z pięknemi rozmaitemi wrażeniami.

Wreszcie wchodzi się do nowego, swego domu, z »poczuciem« powagi żony i gospodyni! i — przytomnieje się.

I nagle młoda mężatka, poznawszy, że przestała być punktem środkowym, wokoło którego przez czas jakiś wszystko się obracało, czuje się zaniedbaną i samotną tembardziej, że młody mąż musi być podwójnie pilnym i mniej czasu traci na czułości.

Młoda żona, nie »uzbrojona« i nie »wychowana« należycie do małżeństwa, uczuwa próżnię, zaczyna żalić się, że mąż jej »już nie kocha« i często nawet pierwsze dzieciątko niezdolnem jest pocieszyć ją. Młoda dziewczyna, wychodząca za mąż, powinnaby tak myśleć i powiedzieć sobie: tak jak dotychczas starano się o mnie, obowiązkiem moim obecnie troszczyć się o moich. W gospodarstwie jedno zajęcie i praca postępują za drugiemi: szczęśliwą być muszę, jeżeli po spełnieniu obowiązków znajdę jaką wolną godzinkę dla siebie. Moje »ja«, moja osoba musi zejść na plan drugi, musi zająć się poważnemi rzeczami, muszę przestać uważać życie za zabawkę. W żadnym razie nie mogę czasem moim dowolnie rozporządzać.

Dobrą żonę, matkę i gospodynię domu porównać można z kapitanem okrętu, stojącym ciągle na straży.

Gdyby takie i podobne myśli, częściej nawiedzały główkę młodej narzeczonej, możeby utraciła nieco ze swej beztroskiej wesołości, ale nabyłaby za to bardzo cennej świadomości, którąby jej w nowem życiu dopomogła do zgody z obowiązkami i — z sobą. Zapoznawanie się z powagą życia już w młodości jest podstawą późniejszego trwałego szczęścia dla niej i dla jej otoczenia.

Zaprzyjaźnienie się z obowiązkami życiowemi, dopomaga do odczuwania pełnego i stałego zadowolenia.

# Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

## 47. UCIECZKA.

Wynajem powozu. — Przebranie Burczymuchy. — Fałszywe przepustki. — Ostatnie przygotowania.

Miałem teraz mnóstwo zajęcia i przygotowań do jutrzejszej ucieczki, i dla poczynienia tych przygotowań drapnąłem tak wcześnie z przed hotelu Bawarskiego wraz z Burczymuchą, nie doczekawszy się rozegrania dramatu, tak interesująco zaczętego w starej kamieniczce na ulicy Długiej. Przygotowania moje były liczne i dość skomplikowane. Na szczęście miałem jeszcze dość pieniędzy, to jest tyle przynajmniej, że mi wystarczyć mogły na wszystko, a potem, co Bóg da.

Najważniejszą rzeczą było dojście do posiadania karety zamkniętej, zaprzężonej w parę dobrych koni i nie mającej woźnicy, gdyż ułożyłem sobie, że furmanem będzie Burczymucha, który tym sposobem razem ze mną wydobędzie się z tego piekła. Pieniędzy nie miałem na tyle, by kupić na własność taką karetę i konie, i na razie nie wiedziałem, jak sobie poradzić.

Ale dziwaczny przypadek przypomniał mi, że kiedyś, wśród mnóstwa panów, należących do organizacyi powstańczej, których poznałem w czasie mego kilkutygodniowego pobytu w Warszawie, znajdował się także właściciel tak zwanej remizy,*) to jest człowiek w tej chwili najpotrzebniejszy dla mnie, posiadający kilka karet i kilkanaście podobno koni. Dawniej opowiadano mi, że w jego karetach bardzo wielu mocniej zagrożonych członków Rządu Narodowego zdołało szczęśliwie wydostać się z Warszawy! Co prawda w owe czasy nie wiele mię to obchodziło, ale teraz przyszło mi na pamięć i przedstawiło się jako jedyna deska ratunku i zbawienia.

Nie tracąc więc czasu, po skromnym obiedzie uwarzonym nam przez Anusię, (łotr Burczymucha miał dobry gust, bo tak ładnej i zdrowej, tak kształtnie zbudowanej dziewczyny dawno nie widziałem) puściłem się do owego pana powoźnika, mieszkającego na ulicy Nowy Świat. Szedłem z pewną obawą, czy ten interes uda mi się zrobić, że użyję wyrażenia handlowego, bo pana Alojzego (tak się zwał powoźnik) znałem tylko z widzenia, a on mię, o ile się zdaje, wcale nie znał i może nawet o mnie nie słyszał. Ale innego wyjścia nie miałem i trzeba było ryzykować.

Ale pan Alojzy przyjął mię bardzo grzecznie i gdym zaczął od przedstawienia mu siebie, zawołał wesoło:

— Ależ to niepotrzebne, ja znam pana doskonale. Masz, poruczniku, pewną, dobrze zasłużoną sławę w organizacyi naszej i wstyd by było nie znać tak dzielnego, tak odważnego młodzieńca. Co, chcesz uciekać z Warszawy? Dobrze robisz. Od dawna już zwracałem uwagę kogo należy, że powinieneś się usunąć. Zanadto wiele zdziałałeś, zanadto jesteś znany policyi, by nie było obowiązkiem każdego dobrego Polaka danie możności ucieczki tak odważnemu jak pan człowiekowi.

Po takim wstępie rzecz szybko i zgodnie ułożyliśmy. Postanowiono, że Burczymucha tego jeszcze dnia przybędzie do powoźnika, przenocuje w stajni, przebierze się w liberyę i jutro rankiem przyjedzie zamkniętą karetą, zaprzężoną w najlepsze, jakie były, konie przed kościół św. Krzyża. Karetę tę, po wydobyciu się szczęśliwem z Warszawy, zostawimy o parę mil od miasta, w miasteczku Tarczyn u wskazanego nam oberżysty, skąd p. Alojzy ją sobie odbierze, a sami już sobie dalej radzić mamy.

Tak się ułożywszy, wróciłem do domu. Deszcz drobny, nieznośny ciągle padał, wicher wył po ulicach prawie pustych i dzięki temu zapewne, te moje ciągłe przechadzki uszły uwagi policyi.

Burczymucha był trochę zdziwiony i niezadowolony tym nagłym naszym wyjazdem, a powód tego niezadowolenia łatwo było odgadnąć. Ukrywał się w postaci ładnej Anusi, którą żal było Burczymusze opuszczać.

— Hm! hm! mopanku — mruczał — po kiego dyabła tak prędko uciekać. Przecie moglibyśmy się tu jeszcze na co przydać. Hm! trudno. Skoro taki jest rozkaz, to żołnierz słuchać go musi, ale zawsze, przyznać to trzeba, że służba żołnierska jest psią służbą.

Cały wieczór go nie było. Zapewne żegnał się tak długo i serdecznie z Anusią. Nie przeszkadzałem mu w tem wcale, bo nic mi to nie szkodziło; owszem, zadowolony byłem z tego, bo miałem ciszę, spokojność i mogłem obmyślać moje dalsze plany.

Przedewszystkiem stawało przedemną pytanie pierwszorzędnej wagi, że jeżeli szczęśliwie z Józefiną wydobędziemy się z Warszawy, co zrobię, dokąd zawiozę i gdzie umieszczę tę ukochaną moją? Nie mogłem przecież włóczyć jej ze sobą po obozie, ciągnąć tę delikatną i wykwintną kobietę w nieskończonych i męczących marszach, mieścić ją pod szałasami leśnymi, narażać na śmierć w bitwach. Ale na szczęście przypomniałem sobie, że w okolicach jednego z miasteczek w górach, na wsi ukrytej wśród gęstych borów, miałem starą ciotkę, wdowę nie wiem już wielu lat, kobietę samotną, która dawniej, gdym był młodszy, nim zerwała się owa szalona wichura, która mnie uniosła, okazywała mi wiele przywiązania i nieraz mówiła, że cały swój, dość znaczny majątek, mnie, jako jedynemu spadkobiercy zapisze. Później, wśród tylu burz i tylu namiętności, które mą młodością przez kilka lat z rzędu szarpały, zapomniałem o tej dobrej ciotce, jak o wszystkiem zapomniałem, co się nie tyczyło Polski, której życie oddałem.

Ale teraz stanął mi w pamięci cichy, ukryty w zieleni dworek mej ciotki i dobroć jej dla mnie, i postanowiłem nie gdzieindziej, tylko tam w Bardo (bo tak się zwała wieś mej ciotki Izabeli), umieścić Józefinę. Bardo leżało w rejonie naszych działań i miałem nadzieję, że nieraz będę miał sposobność wpaść do domu ciotki i ukoić me smutki na łonie najpiękniejszej z kobiet. Nie wątpiłem ani na chwilę, że ciotka się na to zgodzi i uspokojony co do tego najważniejszego w tej chwili dla mnie zadania, zająłem się sprawą ubrania kobiecego dla siebie.

Pod tym względem Anusia oddała mi wielką usługę. Za niewielkie stosunkowo pieniądze przyniosła mi wszystko, co potrzeba, i nic już nie pozostawało, jak zająć się zgoleniem moich pięknych, tak starannie pielęgnowanych wąsów. Burczymucha wynalazł gdzieś jakąś okropną, tępą brzytwę i wśród okrutnego drapania pozbawił mię tej ozdoby twarzy. Smutek mię na widok opadających wąsów ogarnął, ale w tem życiu, jakie od kilku lat pędziłem, tyle już zrobiłem poświęceń, że jedno więcej cóż znaczyć mogło?

Wieczorem Burczymucha wyruszył z żalem wielkim do stajni pana Alojzego. Anusia żegnała go długo i serdecznie, i w nocy słyszałem przez wąską

*) Remizy zwą się w wielkich miastach przedsiębiorstwa, wynajmujące powozy i konie.

ścianę, dzielącą miejsce mego spoczynku od jej alkierza, gorzkie szlochanie i płacze.

Załatwiwszy w ten sposób wszystkie interesa, pełen najlepszych nadziei, ciesząc się, że za kilka godzin opuszczę nienawistną mi Warszawę, rzuciłem się na twarde łóżko Burczymuchy i poraz może pierwszy od kilku tygodni zasnąłem snem mocnym i pokrzepiającym, snem minionej młodości.

Nazajutrz wczesnym rankiem zerwałem się z pościeli, wypoczęty doskonale, i rzeźki i wesoły. Przy pomocy Anusi ubrałem się w suknie kobiece, przyczem nie obyło się bez śmiechów i żartów, które nawet pobladłą twarzyczkę Anusi rozweseliły. Wreszcie pożegnałem tę dziewczynę, obdarzając ją paru dublowanemi dukatami i puściłem się pieszo do kościoła św. Krzyża. Nadzwyczaj niewygodnie mi było iść w sukniach kobiecych i spódnice plątały mi się ciągle między nogami i bałem się stawiać zwykłych mych kroków, więc dreptałem drobniutko, bo zdawało mi się, że w ten sposób najlepiej naśladuje się chód kobiecy. Twarz miałem zasłoniętą gęstą zasłoną, a mimo to zdawało mi się, że każdy przechodzień, każdy policyant widzi we mnie przebranego mężczyznę. Mimo to dostałem się szczęśliwie do kościoła i zauważyłem, że na drugiej stronie ulicy, gdzie było miejsce wyznaczone dla dorożek i powozów, stoi kareta zaprzężona w niezbyt pokaźne, ale nadzwyczaj silne konie, a na koźle, w liberyi trochę za ciasnej, siedzi mój Burczymucha, pali cygaro, rusza wąsiskami i ogląda się bacznie dookoła.

Dzień był pochmurny i wietrzny, a choć wczorajszy, nieznośny i jesienny deszcz ustał, jednak mgła unosiła się w powietrzu, a niebo ołowiane zapowiadało, że wczorajsza słota znowu się powtórzy. Dziesiątej godziny jeszcze nie było i w posępnych nawach kościoła, zaciemnionych od przyćmionego dnia, Józefiny jeszcze nie znalazłem. Osób było nie wiele. W ławkach siedziało kilka starych kobiet, przed jednym z ołtarzy ksiądz Mszę świętą odprawiał cicho i leniwie, w przedsionku klęczało paru wyrobników.

Ale niebawem zjawiła się Józefina, ubrana w płaszcz szeroki, w kapturze na głowie, zakwefiona, pełna niepokoju. Uklękła na chwilę, pomodliła się krótko, wstała potem i podeszła do mnie, ukrytego w cieniu przedsionka, pytając szeptem:

— Czy wszystko gotowe?

— Gotowe. Masz przepustki?

— Mam.

— Więc uciekajmy.

Wyszedłem pierwszy i ruszyłem ku karecie. Pamiętam, jak Burczymucha, zoczywszy zbliżającą się jakąś kobietę do karety, patrzał, patrzał i gdym schwycił za drzwiczki, spytał:

— A co to u kroćset dyablów?

— Cicho bądź stary — syknąłem — to ja...

— Pan porucz...

Nie skończył, uderzył się pięścią w usta i zawołał:

— A niechże cię kroćset dyablów porwie!

Józefina znalazła się już przy mnie, wskoczyła zwinnie do karety, a ja za nią, poczem rzekłem do Burczymuchy:

— Jedź za rogatkę i nie żałuj koni.

Bat świsnął i pędem ruszyliśmy naprzód. Zaraz też, jakby niebo tylko tego czekało, puścił się ów gęsty, nieznośny, drobny i zimny jak lód deszcz, który wszystkich policyantów i strażników zapędzał pod dach. To też na rogatce nie robiono nam prawie żadnych trudności. Jakiś owinięty od stóp do głowy w gumowy płaszcz oficer, odebrał od nas kartkę, mrucząc coś pod nosem, rzucił na nią okiem, potem w głąb powozu i krzyknął na Burczymuchę:

— Ruszaj!

Podniósł się szlaban, przejechaliśmy przez niego, Burczymucha zaciął konie i byliśmy za granicami Warszawy, wolni, szczęśliwi.

## 48. SPOTKANIE W TARCZYNIE.

Szybka jazda. — W przyjacielskim zajeździe. — Jan przemytnik. — Jego tajemnica i ucieczka.

W czasie drogi Józefina trochę płakała, trochę rozpaczała i zdawała się żałować swego kroku, ale pocałunki moje, zaklęcia, słowa uspokoiły ją. Opowiadała mi swoją ucieczkę z domu, powiedziała, że zdołała zabrać wszystkie klejnoty, że ma pieniądze, że wreszcie o Adolfinie tyle się dowiedziała, iż biedną tę, dzielną dziewczynę zamknięto w fortecy.

— Nie sądzę jednak — kończyła opowieść kochanka moja — by dziewczynie tej jakie poważne zagrażało niebezpieczeństwo. Zostawiłam Beli trochę pieniędzy, prosiłam jednego z ulubieńców Rotkircha, ażeby zrobił co mógł, by dziewczynę tę uwolnić i pewna jestem, że ją wkrótce uwolnią. Wszystko to dlatego tylko uczyniłam, że taż Adolfina tobie, mój jedyny, tyle usług oddała.

Za te słowa byłem bardzo wdzięczny Józefinie, choć czuć w nich było tę niezmierną pogardę, jaką żywią kobiety uczciwe, albo mające się za uczciwe, do takich istot nieszczęśliwych jak Adolfina i czuć było dalej pewien odcień zazdrości i wyrzuty, że mnie mogła interesować jakaś tam ladacznica. Ale nie zważałem na to i nie chcąc drażnić mej pięknej towarzyszki, nie pytałem więcej o Adolfinę.

Jechaliśmy szybko. Burczymucha nie żałował koni, bo czuł zapewne zrazu, że im dalej znajdziemy się od Warszawy, tem bezpieczniej będzie dla nas. Deszcz lał ciągle, ów deszcz jesienny, drobny, zimny, szkaradny. Po paru godzinach takiej jazdy przybyliśmy do Tarczyna i przepytawszy się o owego oberżystę, u którego mieliśmy zostawić konie i karetę, zajechaliśmy do niego. Przyjął nas bardzo, a gdym mu powiedział o koniach i karecie, uśmiechnął się i rzekł:

— Alboż to co nowego? Ja te konie i tę karetę już z pięćdziesiąt razy odsyłałem. Niema tygodnia, żebym tego nie robił.

Zaprowadził nas do swego alkierza, którego jedyne okno wychodziło na dziedziniec, gdzie właśnie Burczymucha zrzucał ze siebie liberyę i oddawał parobkowi konie, i przyrzekł, że najdalej za kwandrans da nam wyborną krytą bryczkę i parę koni, które nas powiozą dalej, do najbliższej stacyi.

Siedzimy tedy z Józefiną w onym alkierzu, przyczem ja zrzuciłem z siebie suknie kobiece, rozmawiamy o rzeczach potocznych, przyczem ja patrzę na deszcz, lejący niemiłosiernie, gdy na tenże dziedziniec wpada bryczka kryta, zaprzężona w dwa zziajane konie i z kozła jej złazi kto? Jan, ów Jan, przemytnik, który bawił w Warszawie, którego widziałem parę razy, a który z czasem znikł mi zupełnie z oczów.

Widok tego człowieka w takiej chwili i w takich okolicznościach, w jakich ja się wówczas znajdowałem, zdziwił mię nadzwyczajnie. A przytem ruchy, widoczny niepokój na twarzy przemytnika, zziajane, okryte pianą, robiące bokami konie, nakoniec postępowanie jego całe, wzbudziły we mnie podejrzenie. Gdy wjechał i zatrzymał konie, przedewszystkiem spojrzał na rozmawiającego z parobkiem Burczymuchę, ale widocznie nie poznał go, bo zeszedł z kozła dość leniwie, podszedł do bryczki, podniósł zakrywające ją płótno i zajrzał do wnętrza. Rzuciłem i ja tam okiem i zdawało mi się, że widzę suknię kobiecą.

— Co u dyabła — pomyślałem sobie — co on tu robi? Trzeba to zbadać.

Pod pierwszym lepszym więc pozorem wyszedłem z alkierza, żeby pójść na dziedziniec i dostawszy się do sieni, ujrzałem Jana rozmawiającego z oberżystą. Stał do mnie tyłem zwrócony i usłyszałem, jak swym grubym, szorstkim, ordynarnym głosem wołał:

— Ale co mi tam, do wszystkich dyabłów, jegomość gadasz! Ja muszę mieć konie. Mnie się śpieszy tak, że mi się pali pod nogami.

Zbliżyłem się i uderzając go lekko w ramię, spytałem:

— A gdzież ci się to tak śpieszy, mości Janie?

Zwrócił się żwawo i swe złe, czarne oczy wlepił we mnie z wyrazem wielkiego niepokoju i hamowanego gwałtem gniewu. Widocznie nie poznał mię odrazu, bo zawołał:

— A panu co do tego? Kto pan jesteś i dlaczego mieszasz się w nieswoje rzeczy? Ja nie pytam...

Ale nagle urwał, wpatrzył się bystrzej we mnie i na pół do siebie, na pół głośno szepnął:

— Gdzie u cholery ciężkiej ja tę mordę widziałem?

— Gdzieś widział, to mniejsza, dosyć, że ja cię znam i radzę ci z większem uszanowaniem przemawiać.

Pobladł trochę, niepokój zamigotał w jego oczach, któremi począł bacznie na wszystkie strony spoglądać i zdejmując czapkę, rzekł:

— Przepraszam pana porucznika... nie poznałem... tak, pan porucznik Walery.

— Mniejsza o to, kto ja jestem. Dokądże to jedziesz, i co to za kobieta siedzi tam na bryczce?

Zmieszał się nadzwyczajnie i zrobił taki ruch, jakby chciał uciekać, ale na szczęście we drzwiach od podwórza zjawiła się teraz olbrzymia postać Burczymuchy, tak, że odwrót dla Jana był zagrodzony.

— Kobieta! — zawołał — co za kobieta? Tam żadnej niema kobiety, zdawało się panu porucznikowi. Skądżeby znowu kobieta?

— Nie zapieraj — zawołałem — widziałem tam kobietę.

Zawahał się chwilę, wreszcie zbliżywszy się do mnie, począł szeptać:

— Niech pan porucznik tak głośno, z łaski swojej, nie mówi. Wiozę nie kobietę, ale mężczyznę przebranego za kobietę. Trudno.. inaczej nie można się było wydostać z tego przeklętego mieściska.

— A któż to jest ten mężczyzna?

— Kto? Albo ja wiem... A zresztą pan porucznik go nie zna... i wiadomo, że najlepiej nie mówić o takich rzeczach.

— To nie twoja rzecz, o czem ja mam mówić lub nie. Kto jest ten mężczyzna?

— Ale zaręczam, że pan porucznik go nie zna.

— To do ciebie nie należy. Gadaj mi zaraz do stu dyabłów! — zawołałem zniecierpliwiony tem wszystkiem, a zwracając się do Burczymuchy, zawołałem:

— Ignacy! idź no i zobacz, kogo ten dureń przywiózł!

Jan zzieleniał, skoczył, jakby go kto oparzył i zaczął mnie prosić:

— Niech pan nie chodzi, niech nie chodzi... proszę pana porucznika, już powiem... powiem zaraz!

Był w strasznej trwodze, język mu się plątał i ślinę głośno przełykał. Co do mnie, nie myślałem wcale cofnąć rozkazu, bo w całem zachowaniu się Jana widziałem coś mocno podejrzanego, ale Burczymucha sam się zatrzymał, zapewne powodowany ciekawością usłyszenia, kto jest ów mężczyzna, tak tajemniczo siedzący w budzie i przebrany za kobietę. Jan ze swoją zieloną twarzą, oczami unikającemi spojrzenia, pełnemi niewypowiedzianej trwogi i wściekłości, kręcący się cały tchórzliwie, przełykający głośno ślinę, był nadzwyczaj wstrętny i odrażający.

— Więc gadaj, kto tam jest? — zawołałem.

— Proszę pana porucznika.., to jest pan Biały... pan wie, ten, co to się zawsze za kobietę przebierał.

Wydawało mi się to bardzo prawdopodobnem. Cóżby bowiem było w tem dziwnego, gdyby Biały, skompromitowany mocno wobec władzy rosyjskiej i wobec władzy powstańczej, cóżby, powtarzam, było dziwnego, gdyby pan Biały uciekł z Warszawy. Nie myślałem go zresztą ani zatrzymywać, ani z nim rozmawiać; wszyscy ci panowie dość przykrych pozostawili mi wspomnień, bym je miał znowu sobie uprzytomniać. Dlatego też nie rzekłszy ani słowa, przejęty wstrętem do ohydnej postaci Jana, zawróciłem się i już byłem przy drzwiach izby gdy nagle usłyszałem donośne wołanie Burczymuchy:

— Panie poruczniku, panie poruczniku!

— Co takiego?

— A to mopanku, że ten hycel — tu wskazał na drżącego Jana — łże, jak najęty.

— Ledwie to wyrzekł i nim zdołałem się odwrócić, nagle dobiegło moich uszu ciężkie uderzenie, jak gdyby kto zwalił się na ziemię, tupotanie i straszny wrzask wachmistrza:

— A bodaj cię, szelmo, potrójna zdusiła cholera.

Odwróciłem się żywo i oto co ujrzałem. Wachmistrz jak długi leżał na ziemi, z której podnosił się ciężko, trzymając się oburącz za brzuch, a Jan wypadał jak szalony przez otwarte i swobodne teraz drzwi na dziedziniec. W jednem okamgnieniu zrozumiałem sytuacyę i przeskakując przez gramolącego się na ziemi i klnącego w niebogłosy wachmistrza, rzuciłem się za uciekającym. Ale wyprzedził on mię znacznie, i w chwili, gdym wypadł na podwórze, on już przesadzał parkan i potrząsając pięścią, wołał:

— Zobaczymy się jeszcze!

Popędziłem za nim, ale gdym dopadł parkanu już zbiega nie było widać; zginął w labiryncie różnych zabudowań gospodarskich, za któremi rosły gęste krzaki, a potem las się zaczynał.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## MYŚLI...

Czasem się w sercu coś tak rozjaśni
Podobne cudnej, anielskiej baśni,
Że życie wtedy się rozpromienia
I w jedno wielkie szczęście się zmienia...

Czasem ktoś w sercu ogień roznieci,
Który to życie szczęściem rozkwieci,
Wzbudzi uczucia drzemiące na dnie,
Tak, że łza szczęścia z oczu twych spadnie!...

Wtedy wirują myśli tysiące,
Jakieś marzenia dziwnie gorące,
Że radbyś z niemi w świat gdzieś daleki
Płynąć i zginąć z niemi na wieki!

Powstają myśli całe potoki,
Z któremi płynąć radbyś w obłoki.
Z któremi radbyś w cichości gwarzyć
I z niemi o nich jedynie marzyć...

Lecz szczęście, jako barwy motyle,
Znika, zaledwo błysnęło chwilę
I nikt nie zbada i nikt nie zgadnie,
Czyli na wieki już nie przepadnie!...

*Antoni St. Bassara.*

# Uroczystość w Herkulanum.



We Włoszech, niedaleko Neapolu wznosi się góra, wybuchająca od czasu do czasu ogniem: wulkan Wezuwiusz. Wulkan ten wyrządza często w całej okolicy olbrzymie szkody, zasypując popiołem i zalewając rozpaloną masą sąsiednie pola i ogrody. Najstraszniejsze spustoszenia poczynił w roku 79 po narodzeniu Chrystusa, zasypując trzy miasta rzymskie Herkulanum, Pompei i Stabie.

Z czasem o miastach tych ludzie zupełnie zapomnieli, aż dopiero przed dwustu laty, w 1713 r. przy kopaniu studni trafiono przypadkiem na ich ślad, a później odkopano je w znacznej części. Wszystko znajdowało się tam w tym stanie, w jakim było w chwili zasypania a przez to można było poznać życie starożytnych Rzymian w najdrobniejszych szczegółach. Najdalej doprowadzono odkopanie Pompei, w której odkryto rynek, kilka świątyń, teatr, łaźnię i t. p., a nadto obrazy i zbiory starożytnych przedmiotów. To wszystko dało poznać życie, zwyczaje i obyczaje mieszkańców tych miast.

Między innemi zbadano uroczystość, obchodzoną na cześć bogini Flory w Herkulanum. Była to bogini budzącego się życia. W dniu przeznaczonym na ową uroczystość mieszkanki Herkulanum stroiły swe głowy w wieńce z kwiatów, do rąk brały kwitnące gałęzie i podążały do świątyni bogini, aby jej oddać cześć.

Na obrazku naszym widzimy tak postrojone mieszkanki Herkulanum, widzimy też w głębi bogatych mieszkańców tego miasta, widzimy wszędzie przepych i rozradowanie, ale w dole po lewej stronie, widzimy także dwóch żebraków w lichej szacie, wyglądających wsparcia.

Może być, że za brak litości ukarał Bóg srogo zasypane miasta!

# Sobotnie słonko.

Była to sobota.

Przez całą noc padał deszcz ulewny, to też drogi pełne były kałuż, po rowach mętniała żółta od gliny woda, a trawy lśniły od srebrnych kropel.

Niebo tak się zawlokło chmurami, że słonka ani ujrzeć, szarość jeno a smętek padł na ziemię.

Czasami z nad pól cichych porywał się znagła wicher, marszczył w drobniutkie fale brudne powierzchnie kałuż i targał czubami drzew, strącając z liści na ziemię obfite rosy.

Pod olszowym krzakiem siedzi Małgosia, siedzi Zośka Pakulanka i Jagusia komornicy.

Pilnują gęsi. Zimno im, to też garną się do siebie, jako te ptaszyny w gniazdku, a otulają zapaskami. Nawet śpiewać im się nie chce.

— Zośka, wyjrzyj no na gęsi!

Ale i gęsiom dziś nie owies na myśli; stanęły na jednej nodze, pokuliły się, trawy nie skubią.

— Wyjrzy to dziś słonko? — pyta Jagusia i ku niebu spogląda, skąd znów zaczyna mżyć drobny, siekący deszcz.

— Hale! do cna je chmury zasnuły!

— Nie smućta się, wyjrzy ono wnetki — mówi Małgosia — bo tak ma przykazane.

— A któż mu ta przykazował?

— Posłuchajta, jak to było.

Zamyśliła się Małgosia, przypomina sobie oną legendę dawno, bo przed rokiem słyszaną. Opowiadał ją dziaduś siwy, po prośbie chodzący.

— A było to tak:

»Onego czasu Najświętsza Panienka wyprała Jezusowe szmatki i powiesiła je na żerdkach koło chaty, aby wyschły.

A była to sobota.

Od świtu gęsto chmury zawlekły niebo, aby rosy co nieco podeschły od zachodniego wiatru.

— Może ta coś przewiędną — myśli święta Panienka i precz one koszulki na żerdkach rozwiesza. Aż tu jak nie zaciemni się, jak nie buchnie deszcz srogi; zmoczył giezłeczka tak, że się z nich srebrne strugi polały.

Zafrasowała się święta Panienka okrutnie, pod strzechą stanęła, a żałośnie na swą pracę pogląda.

Wyszedł na tę porę Jezusek przed chatę. Miał ta na sobie aby owczy kożuszek, jako że wszystkie szmatki zdjął do prania.

— A czemu tak, Matuś, markotnie pogladasz?

— Jakże mi się Synaczku nie szczęści! Wyprałam ci giezłeczka, na płocie rozwiesiłam, by wyschły, a tu deszcz je zmoczył, aż woda z nich strugami ciecze.

Podniósł Jezusek złotą główkę, a modremi oczyma w niebo się wpatrzył.

I w tejże chwili deszcz zaczął ucichać, zerwał się wicher srogi. Ciężkie chmury jęły się kłębić, po niebie przewalać, zbijać w tłumy i za las wędrować.

Wyjrzał błękit jasny, czysty, aż gdy ostatni obłoczek się na stronę usunął, buchnęło złotem światłem...

Koszulki Jezusowe w mig wyschły.

Od tego czasu w każdą sobotę musi słonko choć na chwilę z za chmur wyjrzeć«.

Ledwie skończyła Małgosia opowiadać, wyjrzą dziewczyny z za krzaku na świat Boży onego słonka wyglądać i widzą, jako żywo deszcz ustał, pojaśniało dookoła, a dalekie wrzostowiska na piaszczanych górach stoją w świetle złotem. Wnet porwały się z ziemi, zapaski zrzuciły i jęły tańczyć po pastwisku, dudniąc po ziemi bosemi piętami, a piskliwie przyśpiewując.

# Nawrócony złodziej.

(Humoreska).

Działo się w Ameryce. »Zaleca się ostrożność przed rzezimieszkami« — powtórzył głośno stary jegomość, czytając plakat przy wejściu do wagonu.

— O Boże! jakież to smutne teraz czasy, że w krajach chrześcijańskich potrzeba takiego ostrzeżenia — dodał z westchnieniem.

— O, tak, łaskawy panie — odezwał się siedzący obok niego młodzieniec. — Trzeba zawsze być ostrożnym, gdyż i wśród nas mógłby się znaleść jaki rzezimieszek. Znam ja te wszystkie sztuczki, gdyż sam należałem kiedyś do grona tych nieszczęśliwych ludzi. Tak, panie łaskawy, i ja byłem złodziejem.

— Na Boga! Czy to być może? — zawołał stary jegomość z przerażeniem, podniósłszy się z siedzenia.

— Obecnie jestem człowiekiem powszechnie szanowanym. Zapytaj pan, kogo chcesz, a każdy ci to powie. Urodziłem się pośród złodziei i rzemiosła tego nauczyłem się sam przez się, tak, że już w dziesiątym roku życia wypróżniałem cudze kieszenie. Nie lękaj się pan o swoją kieszeń, gdyż już od dawna nawróciłem się zupełnie. Teraz mógłbyś mi pan powierzyć swoją kasę, nie licząc jej wcale. Słowem byłem skończonym złodziejem — ciągnął dalej młodzieniec — i byłbym może aż do dnia dzisiejszego nim pozostał, gdyby nie wypadek, który mnie spotkał na stacyi kolejowej w N., kiedy czatowałem na zdobycz z zamiarem skradzenia torby podróżnej jakiejś nieoględnej damie. Byłbym się ostatecznie zadowolił parasolem lub chustką od nosa, upuszczoną przypadkiem. Osoby, podróżujące nocną porą, z obawy, aby się nie spóźnić, zazwyczaj mniej zważają na swoje pakunki, jak w innej porze.

Gdym jeszcze był nikczemnym grzesznikiem, niestety, ze wstydem wyznać to muszę, korzystałem z każdej sposobności, aby sobie coś przywłaszczyć. Dziś za żadne skarby świata nie uczyniłbym tego.

Jak to już wyżej wspomniałem, wietrzyłem w około dworca, gdy nagle zjawia się jakiś pan, trzymający w ręku kosz szczególniejszego kształtu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem; był zamknięty na kłódkę i obwiązany sznurem. Nieznajomy postawił kosz na uboczu i szukając czegoś w pugilaresie, rozmawiał z drugim, jak się zdawało znajomym sobie jegomością.

— Znalazłem nareszcie, mówił, lecz zapewniam pana, że nadzwyczaj drogo opłaciłem. Musiałem jednakże to uczynić, gdyż inaczej zbiór mój nie byłby zupełnym. Ale dumny jestem z tej zdobyczy i dlatego sam ją przewożę. O, do licha! zawołał, już tylko pięć minut, a ja nie mam jeszcze biletu — i po tych słowach począł się cisnąć do okna.

Towarzysz owego pana spoglądał chwilę na kosz, poczem oddalił się zwolna. Teraz nadeszła dla mnie chwila działania. Przyczołgałem się do kosza, chwyciłem go i śpiesznie pobiegłem w odwrotnym kierunku, nikt tego nie zauważył. Szedłem sobie zwolna ze stacyi pomiędy drzewami z zamiarem wydobycia kosztowności znajdujących się w koszu, a kosz chciałem rzucić.

Wyobrażałem sobie, że musi tam być coś nadzwyczaj kosztownego, lecz co? — o tem nie miałem pojęcia. Odwiązałem sznur i otworzyłem kłódkę; uchyliwszy wieko, posłyszałem jakiś szmer, odwróciłem głowę nadsłuchując, coby to było.

Nie widząc żadnego niebezpieczeństwa dla siebie, podniosłem całe wieko i spojrzałem do środka; atoli któż opisze moje zdumienie, kosz był próżny, nic w nim nie było.

— Cóż u licha! zawołałem, dodając przytem inne jeszcze wyrazy, których dziś powtórzyć nie mogę, lecz wtedy byłem niepoprawnym grzesznikiem, co to znaczy? próżny kosz? Co chciał przez to powiedzieć ten jegomość, gdy mówił o wysokiej cenie? Poco napróżno narażałem się na niebezpieczeństwo? zapytałem sam siebie, sądząc, że policya tuż za mną, gdy nagle silne jakieś ramię opasało moje biodra, a kiedy chciałem otrząść się z tego, tem silniej mnie cisnęło. Co to było.

Tak panie dobrodzieju; myślałem wówczas, że już wybiła ostatnia moja godzina, gdyż przekonałem się, że coś gorszego, niż ramię policyi trzymało mnie w swych objęciach.

Był to olbrzymi wąż »Boa Constriktor«, jakie zwykle w menażeryach widzimy; teraz domyśliłem się, że kosz należał do właściciela menażeryi. A zatem skradłem kosz z wężem, który się wymknął, gdy uchyliłem wieko i odwróciłem głowę.

O panie! nie zapomnę tego nigdy, wąż cisnął mnie coraz silniej tak, że tchu mi już nie stało, lecz całą siłą woli zdołałem zakrzyknąć. Oto właściciel kosza, który szukał swego węża.

— Boże, zlituj się! — zawołał, patrząc na mnie, potem dodał: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Ukradłeś kosz przyjacielu, a z tego wyszedł mściciel, który cię pochwycił. Nie poruszaj się, nie mów ani słowa, jeżeli życie ci miłe. Jeden tylko jest jeszcze dla ciebie ratunek.

— Przez litość, ratuj mnie pan, gdyż się uduszę, szeptałem z cicha błagalnie.

Nieznajomy wydobył z kieszeni butelkę z mlekiem, z drugiej zaś składane naczynie, a napełniwszy je powiedział:

— Jeżeli wąż mlekiem nie da się znęcić, natenczas poleć swą duszę Bogu, młodzieńcze.

Była to dla mnie chwila bardzo okropna, powtarzam.

Zdawało mi się, że już jestem zgubiony, gdyż wąż opasywał mnie coraz to silniej, po chwili jednakże wyciągnął głowę w stronę mleka, a ja czułem, że oddycham swobodniej — po chwili widziałem go zwiniętego nad naczyniem z mlekiem. Nie miałem chęci obserwować go dłużej i oddaliłem się śpiesznie.

Wypadek ten jednakże był dla mnie nauką, że porzuciłem nikczemny sposób życia, jaki dotąd prowadziłem. Atoli zbliża się kres mojej podróży, żegnam pana i jeszcze zapewniam, że odtąd jestem człowiekiem szanowanym. Polecam się łaskawej pamięci!

— Dziwna historya, mówił po wyjściu młodzieńca stary jegomość, bardzo dziwna. Zdaje mi się, że obecnie stał się sumiennym człowiekiem.

Po chwili włożył rękę do kieszeni, szukając chustki do nosa, lecz ta znikła. Tak samo i woreczek z pieniędzmi — wszystko to znikło wraz z pełnym sumienności młodzieńcem!

## ŚPIEWKA.

Cztery białe serki, osełeczka masła
Będę na pastwisku siwe gąski pasła.
Będę gąski pasła pod tą ranną zorzę,
Kruczek je naganiać od owsa pomoże.
Hu—ha!...

Płynie rzeczka, płynie, toczy srebrną wodę,
Usnął Kruczek w sianie, poszły gąski w szkodę.
Płynie rzeczka, płynie, z ranka do wieczora.
Zajęli mi gąski do białego dwora.
Hu—ha!...

*M. W.*

# CZARNA ZARAZA.

## XXI. Polowanie na człowieka.

Za śladami. — Polowanie na bliźniego. — Kłopot nielada. — Mylne ślady. — Psie zimno.

Popędziliśmy za śladami, które prowadziły nas prosto ku górom.

Galopując, Sperwer mówił do mnie:

— Gdyby tak na nasze szczęście Zaraza weszła w jaką dziurę, żeby sobie odpocząć, schwytalibyśmy ją przed zmierzchem.

— Miejmy nadzieję, Gedeonie.

— O! nie rachuj na to, nie rachuj! Ta przeklęta wilczyca jest w ciągłym ruchu, przebiega wszystkie wąwozy Czarnego Lasu bez odpoczynku. Nie powinniśmy się łudzić. Jeżeli wypadkiem zatrzymała się gdzie, tem lepiej, będziemy radzi; a jeżeli wciąż idzie, niech nas to nie zniechęca. Hop! hop! Fox!

Dziwne to położenie człowieka, polującego na swego bliźniego, bo bądź co bądź ta nieszczęśliwa była istotą do nas podobną; miała, jak my, duszę nieśmiertelną, czuła, myślała; zastanawiała się, jak my; z drugiej strony prawda, że przewrotne, dziwne popędy zbliżały ją do wilczycy, i że straszna jakaś tajemnica ciężyła nad jej losem. Życie koczujące zatarło w niej zapewne mniej więcej cechy ludzkości; w każdym razie jednak nic na świecie nie upoważniało nas do przywłaszczania sobie nad nią praw człowieka nad zwierzęciem.

A przecież dziki jakiś zapał pchał nas naprzód; ja sam czułem kipiącą krew w żyłach i postanowiłem nie cofnąć się przed żadnym środkiem schwytania tej dziwacznej istoty.



Popędziliśmy za śladami.

Polowanie na wilka lub dzika nie byłoby mnie roznamiętniło do tego stopnia.

Śnieg unosił się w białych tumanach za nami, często kawałek lodu, oderwany podkową, przelatywał ze świstem koło naszych uszu.

Sperwer, to chwytający ustami powietrze, to z okiem utkwionem w ślady, przypominał mi tych sławnych Baszkirów, których w dzieciństwie, przechodzących przez Niemcy widziałem, a jego koń chudy, wielki, muskularny, z rozwianą grzywą i giętkim, jak u harta, tułowiem, uzupełniał złudzenie. Liverle w uniesieniu podskakiwał na wysokość głów naszych koni, a ja mimowoli drżałem na myśl o jego spotkaniu ze starą: był zdolny rozszarpać ją, nimby krzyknąć zdążyła.

Czarna-Zaraza sprawiała nam kłopot nielada.

Na każdym wzgórku, na każdym zakręcie widoczne było, że się starała zmylić ślady.

— Jeszcze tu to nic — wołał Sperwer — widzi się z daleka — ale w lesie, to dopiero będzie taniec. Patrzaj ją, kanalia!... jak to potrafi człowieka oszukać! Ot, tutaj zatarła zupełnie kroki, a tam znowu niecnota brodziła sobie w rzeżusze, żeby się do lasu dostać!

Dosięgliśmy skraju jodłowego boru. Śnieg w tego rodzaju lasach leży tylko miejscami, tam, gdzie nie sięgają gałęzie. Było to trudne przejście. Sperwer zsiadł z konia, ażeby lepiej widzieć, i kazał mi się usunąć na lewo, by mu mój cień nie przeszkadzał.

Były tam całe place zasłane zeschłymi liśćmi i temi gnącemi się gałązkami jedliny, na których ślady nie zostają. To też Sperwer odnajdywał ślad tam tylko, gdzie śnieg przypadł.

Potrzeba nam było całej godziny do wydostania się z tego gąszczu.

Stary myśliwiec przygryzał wąsa, a kiedy chciałem się odezwać, przerywał mi szorstko, wołając:

— Nie mów, przeszkadzasz mi!

Zstąpiliśmy wreszcie w dolinkę na lewo; tam Gedeon, ukazując mi ślad starej na pochyłości, rzekł:

— Ten już nie jest mylny. Możemy śmiało iść za nim.

— Skąd to wnosisz?

— Stąd, że ta dyablica ma zwyczaj, kiedy chce ślad zmylić, zrobić kilka kroków w jedną stronę, poczem wraca po tych samych śladach, robi znów kilka kroków w drugą stronę i skacze gdzie w trzecią, ale jak myśli, że jest dobrze zabezpieczoną, daje pokój tym psim figlom. A co? nie powiedziałem? Przeszła tutaj chyłkiem, jak dzik, pod krzakami. Teraz już jej nie stracimy. Możemy zapalić fajki.

Zatrzymaliśmy konie i poczciwy Gedeon, którego oblicze rozpromieniać się zaczęło, zawołał z uniesieniem, patrząc na mnie:

— Franku! to będzie może jeden z najpiękniejszych dni w mojem życiu. Jeżeli złapiemy starą, przytroczę ją do siodła, jak tłómoczek.

— Jedno mnie tylko martwi.

— Cóż takiego?

— Że zapomniałem wziąć trąbki. Chciałbym tak zadąć z tryumfem, zbliżając się do Nidecku. Ha! ha! ha!

Zapalił fajkę i pojechaliśmy dalej.

Ślady Wilczycy wiodły nas teraz po wyniosłości tak stromej, że musieliśmy kilka razy zsiadać i prowadzić konie za uzdę.

— Masz tobie, zwraca się na prawo — rzekł Sperwer — tam góry są tak śpiczaste, że chyba jeden z nas będzie musiał potrzymać konie, a drugi wdrapie się na szczyt, żeby się spuścić na dół. Co u dyabła, już się ściemnia!

Otaczał nas wtedy krajobraz imponującej wspaniałości; olbrzymie, pokryte lodem, skały wznosiły tu i ówdzie swe spiczaste grzbiety, stercząc, jak szkielety okrętów, na oceanie śniegu. Nic równie posępnego, jak zimowy krajobraz w górach: wąwozy, doliny, zarośla, połyskujące szronem, tchną dziwnym jakimś smutkiem i opuszczeniem. A cisza – tak głęboka, że słychać szmer liścia, zsuwającego się po stwardniałym śniegu, i szelest spadającej gałązki — ta cisza cięży nam i przejmuje duszę poczuciem bezmiernej nicości.

Jakże wątła i chwiejna jest istność człowieka! Dwie zimy jedna po drugiej, a życie zniknie z powierzchni naszego globu.

Od czasu do czasu któryś z nas uczuwał potrzebę odezwania się, choćby tylko dlatego, żeby własny głos usłyszeć, żeby powiedzieć:

— Brrr! jakie psie zimno!

Albo:

— No, no, już może niedaleko.

— Liverle, trzymaj się ostro!

Na nieszczęście konie nasze zaczynały się męczyć; nie rżały już, jak na wyjezdnem, i zapadały po piersi w śniegu.

A przy tem kręte wąwozy Czarnego Lasu ciągnęły się do nieskończoności.

Stara lubiła widocznie te miejsca ustronne: tu okrążyła opuszczoną chatę węglarza, tam rwała korzonki, na omszałych skałach rosnące, ówdzie usiadła sobie pod drzewem i to niedawno, może przed paru godzinami, bo ślady były zupełnie świeże; odwaga więc nasza i otucha rosły. Ale zmrok zapadał coraz gęstszy.

Rzecz dziwna! od wyjazdu z Nidecku nie spotkaliśmy ani żywej duszy. W tej porze samotność Czarnego Lasu jest podobna do samotności stepów Ameryki Północnej.

O piątej noc już była zupełna. Sperwer zatrzymał konia i rzekł:

— Wyjechaliśmy dwie godziny za późno. Stara za wiele nas wyprzedziła. Za dziesięć minut będzie już ciemno, jak w rogu. Musimy więc zejść w Dolinę Skalistą, o jaki kwadrans drogi stąd, rozpalić tam dobry ogień, przekąsić i wypić. Jak tylko księżyc wzejdzie, pojedziemy dalej, a jeżeli stara nie jest wcielonym dyabłem, założę się, że znajdziem ją gdzie pod drzewem nieżywą, bo niepodobna, aby istota ludzka mogła na taki czas takie utrudzenie przetrzymać. Sam Sebalt, który ma najdzielniejsze nogi w całym Czarnym Lesie, nie dokazałby tej sztuki. Cóż ty na to, Franku?

— Podzielam twoje zdanie. Waryat chyba mógłby inaczej postąpić, a przytem umieram z głodu.

— A zatem w drogę!

(Ciąg dalszy nastąpi).

## NIE ODLECĘ.

Nie odlecę, mnie nie trzeba
Ciepłych włoskich nieb,
Dosyć będzie dla mnie chleba
W zimie z naszych gleb.

Ziarno w biedzie dla ptaszyny
Ludzka rzuci dłoń,
Przytuli mnie krzak kaliny
Wśród samotnych błoń.

Nie odlecę, bo tęsknota
Na obczyźnie w sieć
Za ojczyzną mnie omota,
Lepiej grób tu mieć

W zaspie śniegu, nad krynicą,
W łonie zimnych skał,
Niżby gnębić mnie tęsknicą
Kraj słoneczny miał.

*Władysław Łukasik.*

# Nowe książki.

*Jadwiga Chrząszczewska, Jadwiga Warnkówna:* **Na wieczornicy**, podręcznik dla ochroniarek. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1913.

Praca nad oświatą ludu z każdym rokiem zwiększa się i pogłębia. Rozszerza się program, rozszerza się pole działania. Rosną zastępy bojowników za dobrą sprawę, za walkę o światło, o oświatę. W szeregach tych bojowników są doświadczeni praktycy, ale są i tacy, którzy radziby pracować, ale nie znają środków do przeprowodzenia tej pracy. Szukają oni więc drogi dla siebie, błąkają się, walczą z trudnościami i... zwyciężają je nieraz, ale nie zawsze. A gdy nawet w końcu znajdą drogę, to na szukaniu jej tracą drogi czas, a tak być nie powinno. Celem więc ułatwienia im tej drogi, napisały autorki omawianą książkę p. t. »Na wieczornicy«.

Całość podzielona jest na 35 pogadanek, z których każda ma zająć jeden wieczór, a obejmuje wzory z różnych dziedzin celem spopularyzowania różnych wiadomości.

Aby poznać różnorodność pogadanek, dość wymienić tytuły niektórych, a mianowicie: Pomocnicy rolnika. Obrońcy pól i lasów. Nieprzyjaciele naszych sadów i walka z nimi. Koral. Gąbka. Kreda. O roślinach. Kawa. Herbata. Czekolada. Bawełna. Jedwab. Torf. Węgiel. Koks. Gaz. Nafta. Sól i kopalnie soli w Wieliczce. Powietrze. Woda i jej przemiany. Części ciała ludzkiego. O trawieniu i pokarmach. O bakteryach. O szkodliwości trunków i tytoniu. O wychowaniu dzieci. O panowaniu nad sobą. Człowiek uczciwy. O współdzielczości. Ziemia. Oceany. Przyciąganie ziemi. Europa. Główne europejskie kraje. Królestwo Polskie. Jak ludzie dawniej żyli. O religii, obyczajach i urządzeniach Słowian. Założyciel Królestwa Polskiego. Polska w podziałach. Tatarzy. Kolonizacya. Władysław Łokietek i Krzyżacy. Ostatni z Piastów. O stanach w Polsce. Słońce. Planety. Księżyc. Gwiazdy. Zaćmienia. Gwiazdy spadające. Meteory.

Oto treść książki — a jakiż jej cel?

»Zadaniem tej książki — piszą autorki we wstępie — jest także wpoić w tych wszystkich, którzy stanęli do zbożnej pracy nad oświatą ludu, to głębokie przekonanie, że oni nie są jedynie nauczycielami, ale przedewszystkiem wychowawcami, że wiedza nie jest sama w sobie celem, ale tylko środkiem do jedynego celu, do którego ludzkość dążyć powinna i dąży — do udoskonalenia wewnetrznego«.

*Kasper Wojnar:* **Sprawa bałkańska a sprawa polska.** Lwów. Nakładem Rady Narodowej. 1913.

Świeżo ukazała się na półkach księgarskich książeczka, napisana przez znanego pracownika na niwie oświaty ludowej, p. Kaspra Wojnara, przedstawiająca w barwnych słowach niedawne a bohaterskie zapasy na półwyspie bałkańskim, których celem było wyswobodzenie Słowian z niewoli tureckiej. W drugiej części daje autor rzut oka na dzieje Polski niepodległej, rzut oka na położenie w trzech zaborach; przedstawia siłę narodu polskiego i jego żywotność i t. d.

Całość kończy się znanym wierszem, z którego jedną zwrotkę przytaczamy poniżej:

Weźmiemy ciężkie na ramiona głazy
I pójdziem w ciszy Ojczyznę budować;
Gdy będzie trzeba, zegniem się sto razy,
Nie będziem ramion ni życia żałować,
Lecz wciąż się modlić w tej pracy do Ciebie:
Daj nam się dźwignąć samym i przez siebie.

Cała książeczka napisana bardzo przystępnie, a przejęta głęboką miłością Ojczyzny, godną jest jak najszerszego rozpowszechnienia.

*Kazimierz Baranowski:* **O zbieraniu, suszeniu i przygotowaniu do handlu ziół lekarskich i przemysłowych.** Pod tym tytułem wyszedł podręcznik dla plantatorów i zbierających zioła dziko rosnące. Poza przedmową od autora i wstępem obejmuje książka następujące rozdziały: 1. Ogólne uwagi o zbieraniu ziół. 2. Jak zbierać należy pojedyncze części roślin. 3. O suszeniu ziół i o przyrządach służących do suszenia. 4. O odpowiedniem przechowaniu ziół. 5. O pakowaniu i przesyłce.



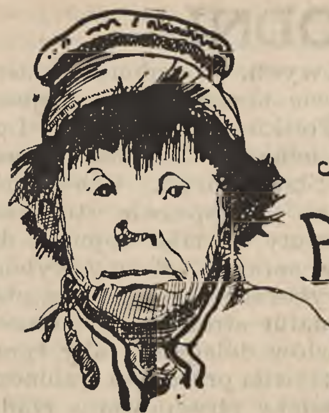
## Kolonia wakacyjna seminarzystek w Myślenicach.

Jak w innych miastach, tak i w Krakowie jest wiele instytucyi i towarzystw, które mają na celu dobro publiczne. Jedne z nich starają się o rozwój umysłowy niższych warstw społeczeństwa, inne pragną podnieść zdrowie młodzieży, pamiętając o pięknem przysłowiu: »W zdrowem ciele — zdrowy duch«.

W tym to celu powstała kolonia dla dzieci szkół ludowych w Kochanowie, są urządzane zabawy w parku Dra H. Jordana, a wreszcie staraniem »Związku niewiast katolickich« założono kolonię dla seminarzystek krakowskich. Prezesową komitetu dla tej kolonii jest p. Turska, znana ze swej filantropijnej działalności. Ona to przy pomocy księdza prof. Masnego wyszukiwała mieszkania dla kolonii. Tego roku pomieszczono kolonistki w Myślenicach, w willi radcy p. Bergela. Willa ta znajduje się przeszło 2 kilometry za miastem, nad Rabą, u stóp dość znacznych wzgórz. Z frontowych okien willi rozciąga się wspaniały widok na Rabę i pola, leżące po drugim jej brzegu, a nadto na dwa wzniosłe wzgórza: Uklejnę i Chełm. W dali za mgłą rysuje się góra Kotun, która jest najwyższym szczytem w okolicy Myślenic. Śliczny to widok, gdy w pogodny dzień słońce rzuca promienie na stoki gór, skryte lasami, rozjaśnia ich zieloność i przegląda się w falach wody, które nabierają srebrnego połysku. Takich jednak dni było tego lata bardzo mało, ale i pochmurne dawały sposobność przyglądania się cudom natury. Czasem chmury zakryły całkiem stok góry i tylko szczyt wysuwał się z tego lekkiego i powiewnego płaszcza.

Jak w pierwszym tak i w drugim miesiącu było na kolonii po 24 panienek. Tryb życia kolonistek podlegał pewnym przepisom — był jednak wielce urozmaicony.

Po wysłuchaniu Mszy św. w kościele wracałyśmy do domu, gdzie robiłyśmy robótki, czytałyśmy książki i t. p. W pogodne dnie chodziłyśmy do lasu na jagody i grzyby, a po obiedzie robiłyśmy pod przewodnictwem p. kierowniczki dalsze wycieczki. Ze szczytów gór widziałyśmy wielką przestrzeń, która od południowego zachodu zamknięta wzgórzami, ku półnony rozpościera się po Kraków i granicę. Barwną szachownicę pól przerywają malowniczo ułożone wioski. Na szczytach, jakkolwiek nie bardzo wysokich, ale łączących nas z innym światem, a odrywających od życia codziennego i trudów szkolnych, wznosiłyśmy modły do Boga, aby wynagrodził naszych dobroczyńców za to, co dla nas czynią. Wiedzą oni, że niejedna z nas niema środków, aby wyjechać gdzieś i odpocząć po ciężkiej pracy szkolnej, więc dokładają trudów, aby tylko dać nam możność nabrania sił do nowej nauki. Za te wszystkie trudy i prace dla nas poniesione, składam wszystkim dobroczyńcom kolonii dla seminarzystek, a także i pani kierowniczce, w imieniu koleżanek serdeczne »Bóg zapłać!« *Kolonistka.*




Magda Pytlikówna pytała się mnie, co lepiej: cy się wydać, cy nie wydać?

— I to złe i to niedobre — ja jej na to. — Samemu człekowi nijako na tem świecie, ale często przecie lepiej samemu jak z drugiem, który ino na to patrzy, aby drugiego uzryć. A nie ino baby to potrafią!

Baba będzie cięgiem, powoli gdyrała, jaz ci się dogryzie do samego środka, a chłop wprawdzie do takiego powolnego gdyrania nie zdały, ale za to jak huknie, tobyś w mysią dziurę wlaz. Bez to, nim się wydas, trzeba dobrze patrzyć, co on chłop za jeden i jaki on jest.

— Jak chces — padam do Magdy — to ci powiem, po cem się poznaje dobrego chłopa. Bo jak dobrego konia poznaje się po cienkich nogach, dobrą krowę po wielkiem wymieniu, tak i dobry kawaler ma swoje oznaki, po których można go poznać.

Nie wydaj się za chłopaka, który nigdy na umówiony cas nie przychodzi, bo jak się przed ślubem spaźnia, to po ślubie będzie jesce bardzi

Nie wydaj się za chłopaka, którego przyłapies na kłamaniu, bo jeśli on w kawalerstwie kłamie, to w małżeńskości będzie kłamał jesce bardzi.

Nie wydaj się za takiego, który nie ma litości la zwierząt, bo jak on zwierzęta tłuce, to i do ciebie się wnet dobierze.

Nie wydaj się za takiego, który się lubi upijać, bo taki, co ty zarobis, Mośkowi w karcmie zostawi.

Nie wychodź za chłopaka, który ci się boi prosto w ocy pożryć, bo taki ma jakiegosik robaka w sercu, co go gryzie, a z takiem nie będzies scęśliwa.

Nie wydaj się za takiego, który się z innych wyśmiwa, bo pewnikiem, jak ty nie słysys, i z ciebie się wyśmiwa, a jak będzies jego babą, jesce bardzi wyśmiewał się będzie.

Nie wychodź za takiego, który się o twoje wiano pyta, bo on nie o ciebie zastoi, ale o morgi i jałówkę. Takiemu poradź, zeby się z krasuliną cielisią ozenił.

Nie wydaj się za takiego, który nie lubi twoich tatusiów, bo taki i ciebie wnet tez przestanie lubieć.

Jak się chces koniecnie wydać, to sukaj sobie takiego, jak, nie przymirzając, ja, co to nie mam zadnych wadów, jeno same zalety, które starcą i za morgi i za urodę Ale takich galantnych chłopaków dziś mało na świecie, coby, jako ja, siedzieli w chałpie, a nie włócyli się w kuzde święto po karcmiskach na grzech i pośmiewisko ludzkie.

Oj, zebym ja był wójtem, abo jegomością, tobym batem takich ocajdusów do chałpy pędził.

# Z TYGODNIA.

**Zjazd posłów ludowych.** W sobotę 30 sierpnia odbyły się w Krakowie obrady posłów sejmowych i parlamentarnych Polskiego Stronnictwa Ludowie, przy uczestnictwie ministra Długosza, a pod przewodnictwem prezesa Stapińskiego. Uchwalono rezolucye w wielu sprawach. W sprawie stosunku do rządu podniosły się zarzuty, że rząd dopuścił do rozbicia się kompromisu w sprawie reformy wyborczej i że przy ostatnich wyborach zachował się nieprzychylnie wobec kandydatur stronnictwa ludowego. Wybrano z grona posłów delegacyę, aby sprawę tę bezzwłocznie przedstawiła prezesowi gabinetu hr. Stürgkhowi, żądając zmiany postępowania rządu krajowego względem P. S. L. Do delegacyi wybrano posłów: Białego, Średniawskiego, Stapińskiego i Wróbla. Posłowi Stapińskiemu i ministrowi Długoszowi wyrażono pełne zaufanie. — W sprawie Sejmu uchwalono rezolucyę, domagającą się zwołania jak najrychlejszego Sejmu dla załatwienia przedewszystkiem reformy wyborczej. P. S. L. oświadcza się za powszechnem, równem (bez kuryi), bezpośredniem i tajnem głosowaniem, za katastrem narodowym, a przeciw proporcyonalności. — W sprawie klęsk elementarnych wybrano komisyę, która ma się udać do rządów krajowego i centralnego z żądaniem akcyi zapomowej na wielką skalę. Pomoc powinna wynosić co najmniej 40 milionów koron. — W sprawie emigracyi uchwalono domagać się uregulowania stosunków w drodze nowej ustawy emigracyjnej, do czasu zaś uchwalenia tej ustawy domagać się u rządu przyznania wszystkim, z wyjątkiem pozostających w czynnej służbie wojskowej, prawa swobodnego poszukiwania zarobku poza granicami państwa, interwencyi rządu z powodu wyzysku naszej emigracyi przez pruski kartel Towarzystw okrętowych; oświadczono się przeciw emigracyi ludu polskiego dokądkolwiekbądź na stałe i zgodzono się, by w sprawach wychodźczych działać w porozumieniu z polskiem Towarzystwem emigracyjnem. Klub posłów P. S. L. stwierdził zarazem, że prezes Stapiński oświadczając się za dopuszczeniem »Canadian Pacific« w granice Galicyi, nie działał i nie miał zamiaru działać na szkodę czy to wychodźców, czy też interesów narodowych, lecz dążył do obniżenia kosztów przejazdu za morze i do uzyskania znośniejszych warunków przez dopuszczenie konkurencyi między Towarzystwami przewozowemi, które operują w Austryi.

**Czesi a Niemcy.** Stosunki w Czechach stanowią obecnie przedmiot powszechnego zainteresowania. Niemcy czescy grożą dalej rozbiciem parlamentu; Czesi protestują przeciw zamiarowi narzucenia krajowi reformy wyborczej i ugody. Wiceprezydent izby posłów, Zdarsky, oświadcza w jednem z pism, że o żadnych rokowaniach ugodowych myśleć nie można.

**Cesarz Wilhelm II. w Poznaniu.** Cesarz niemiecki z cesarzową, synami i świtą bawił przez parę dni w Poznaniu. Zamieszkał w nowo zbudowanym zamku i był obecnym na poświęceniu ratusza poznańskiego, starodawnej polskiej budowli. Polacy od uroczystości pruskich trzymali się zdala, pewna tylko ilość zaproszonych musiała wziąć udział w obiedzie cesarskim, nie chcąc nieobecnością drażnić bardziej wrogiego rządu pruskiego. Wizyta cesarza Wilhelma, jego mowa, wygłoszona na zamku, skłoniły tamtejszą opinię publiczną do zajęcia stanowiska wobec Niemców. O ugodzie z Niemcami trudno myśleć. Chęć do ugody żadną miarą nie może być jednostronną, lecz opierać się na zasadzie wzajemności. Ugoda bowiem, równająca się kapitulacyi, sprzeciwiałaby się nietylko godności narodowej, ale co ważniejsza, byłaby błędem politycznym, nadzwyczaj zgubnym w swych skutkach. Wszelkie nadzieje, jakoby cesarz Wilhelm zmienić miał swoją polakożerczą politykę, jak piszą gazety poznańskie, nie wytrzymują krytyki. Pogodzić się trzeba z myślą, że walka, jaką system pruski nam wypowiada, jest walką na śmierć i życie, walką nie wymierzoną przeciwko poszczególnym warstwom naszego społeczeństwa ani przeciwko poszczególnym kierunkom politycznym w łonie tego społeczeństwa, lecz przeciwko całemu narodowi. Zapewne, że i decydujące koła pruskie podając nam rękę do zgody, żądają tylko abyśmy się zamienili w Prusaków, mówiących po polsku, czyli zrzekli się wszelkich dążeń do odrębnego życia narodowego. Oczywiście, że taka ugoda równałaby się z naszej strony dobrowolnemu samobójstwu, a my umierać nie chcemy. I pomimo wszystko nie potrzebujemy. Ale nieodzownym warunkiem skutecznego oparcia się przeciwnościom jest wiara w siebie, w niespożyte siły narodu, gotowego bronić do upadłości praw swoich najświętszych i zagrożonego swego bytu. A wiarę tę społeczeństwo poznańskie posiada w całej pełni.

**Trzy nowe twierdze w Królestwie Polskiem** postanowiło zbudować rosyjskie ministerstwo wojny. Jest to rezultat układu między rosyjskim a francuskim sztabem jeneralnym.

**O granice Albanii.** Albańczycy odbywają obecnie liczne kongresy i zjazdy, na których uchwalają protesty przeciw granicom, wytkniętym dla Albanii przez konferencyę ambasadorów w Londynie.

**Rokowania Bułgaryi z Turcyą.** Rząd bułgarski, jak już urzędownie doniesiono, zdecydował się na bezpośrednie rokowania z Turcyą w sprawie adryanopolskiej. Jak słychać, na to postanowienie Bułgaryi wpłynęło stanowisko Rosyi, która w ostatnich dniach w sposób bardzo naglący nakłaniała Bułgaryę do porozumienia się z Turcyą. Gdy rząd bułgarski spostrzegł, iż Rosya w żadnym razie nie jest skłonna do czynnego jej poparcia przeciw Turcyi, powziął uchwałę, aby rokować z Turcyą.

**Sprawa Mandżuryi** zaczyna być przedmiotem walki prasowej w Rosyi i Japonii. Gazety rosyjskie domagaja się wystąpienia rządu przeciw zbyt wytężonej kolonizacyi japońskiej w Mandżuryi, kraju azyatyckim. Gazety japońskie zaś uderzają na alarm z powodu zbyt wielkiego wzrostu wpływów rosyjskich w Mandżuryi.

**Rewolucya w Chinach**, jak donoszono, skończyła się. Wojska rządowe zwyciężyły. W Szanghaju i w okręgu panuje spokój. W okręgu w czasie walk z wojskiem rządowem zginęło przeszło 1.000 obywateli.

W ostatniej chwili przychodzą jednak wiadomości, że rewolucyi jeszcze nie stłumiono, gdyż buntownicy chcieli otruć prezydenta rzeczypospolitej chińskiej, Juanszikaja. Dzięki sztuce lekarskiej udało się prezydenta utrzymać przy życiu. Rozgoryczony tym zamachem zarządził prezydent natychmiast wymarsz wojsk przeciw zbuntowanym.

**O tron brazylijski.** Dzienniki brazylijskie ogłaszają manifest pretendenta do tronu brazylijskiego ks. Ludwika Braganzy, który krytykuje obecny rząd i stawia swoją osobę do rozporządzenia ojczyźnie, zapewniając, że gotów do wszelkich ofiar. Ks. Ludwik Braganza jest wnukiem ostatniego cesarza brazylijskiego Don Pedra, który zmuszony został zrzec się tronu.

# KRONIKA.

**Przedłużenie wakacyi z powodu klęsk rolniczych.** Urzędownie donoszą ze Lwowa: »Ze względu na wielkie klęski, któremi ludność wiejska większej części kraju tak ciężko została dotknięta, Rada szkolna krajowa upoważniła Rady szkolne okręgowe do stosownego opóźnienia w poszczególnych gminach, na prośbę Rad szkolnych miejscowych, rozpoczecia roku szkolnego 15 września b.r., aby w ten sposób umożliwić rodzicom użycie starszych dzieci do pomocy w pilnych robotach polowych, względnie wyręczenie się młodszemi przy paszeniu bydła i drobniejszych posługach domowych«.

**Powołanie rekrutów.** Jak donoszą gazety wiedeńskie, w roku bieżęcym rekruci powołani zostaną z dniem 7, a rezerwa zapasowa 9 października. Jednoroczni ochotnicy rozpoczynają służbę d. 1 października. Czas trwania ćwiczeń rezerwy zapasowej wynosi, wedle nowej ustawy wojskowej, 10 tygodni, czyli o dwa tygodnie dłużej niż dawniej. Tegoroczni rezerwiści zapasowi będą musieli służyć dalej, podczas gdy rezerwa 1912 r. przeniesiona zostanie w stan nieczynny, Wskutek braku żołnierzy, spowodowanego zarządzeniami w Galicyi i Bośni, radzi sobie zarząd wojskowy przez ostrzejsze stosowanie ustawy wojskowej, oraz w ten sposób, że dwuroczniacy, których wcale nie urlopowano, po upływie urlopu zostaną powtórnie powołani lub też będą trzeci rok służyli.

**Obchód styczniowy.** W Zaborowiu, powiat Brzesko, odbył się w niedzielę d. 24 sierpnia obchód ku uczczeniu pamięci 50 letniej rocznicy powstania styczniowego. Po uroczystej sumie, celebrowanej przez ks. Dra Czerniaka, udał się liczny pochód pod krzyż grunwaldzki, gdzie odśpiewano pieśni patryotyczne. Historyę powstania z roku 1863 wyjaśnił licznie zebranej ludności w dłuższem pięknem przemówieniu p. Daniec, pocztmistrz z Radłowa, poczem poseł Dr Matakiewicz przedstawił przyczynę upadku Polski walk o niepodległość, stosunek nasz do obcych zaborów i nawoływał do jedności i zgody. — Z pod krzyża grunwaldzkiego udał się pochód na miejscowy cmentarz, gdzie na grobie uczestnika powstania z r. 1863, znanego powieściopisarza ś. p. Sewera Maciejowskiego, złożono wieniec, przyczem przemawiał także p. Daniec. — Wieczorem grono wiejskich amatorów odegrało z powodzeniem dwu-aktówkę »Ksiądz Mackiewicz«. Odśpiewaniem »Jeszcze Polska nie zginęła« zakończono piękną uroczystość — Czysty dochód z przedstawienia przeznaczono na budowę domu ludowego w Zaborowiu.

(W. K.) **Śmierć od pioruna.** W Krościenku nad Dunajcem d. 25 sierpnia po południu, zabił piorun zamożnego gospodarza, który przed burzą schował się pod kopę żyta. Zostawił on żonę i dwoje dzieci.

**Morderstwo w klasztorze.** W nocy z d. 26 na 27 sierpnia cichy monastyr Bazyliański w Złoczowie był widownią strasznego mordu rabunkowego, którego ofiarą padł przeor klasztoru. Klasztor, w którym popełniono mordersiwo, oddalony jest o kilometr drogi od Złoczowa. Jest to małe domostwo stojace samotnie na otwartem polu. Odebrali go przed laty około 30 zreformowani Bazylianie od starych Bazylianów, do których zakonu należy też i zamordowany superior Ignacy Kossak. Administrował on jednak już parafią tą za rządów Bazylianów zreformowanych. Klasztor daje małe tylko dochody, gdyż liczy bardzo mało parafian, a ponadto cięży na nim obowiązek utrzymywania dwóch wikaryuszy. Jednym z tych wikarych był też od lat około 10 zamordowany ks. Kossak, który przed trzema laty po śmierci przeora ks. Niemiłowicza, zamianowany został przeorem klasztoru. Służąca, wiedząc, że ś. p. przeor zwykle raniutko wstawał, dziwiła się tem, ze drzwi sypialni dn. 27 sierpnia były zamknięte i odrazu powzięła pewne podejrzenie. Dobiiała się więc do drzwi sypialni, a gdy żaden głos z wewnątrz się nie odzywał, przedostała się przez okno do pokoju, gdzie z przerażeniem ujrzał w kałuży krwi zastygłe już zwłoki ś. p. przeora. Wybiegła więc z krzykiem na podwórze i zawiadomiła o strasznym wypadku innych służących. Dano znać do miasta. Wnet potem przybył sędzia śledczy z lekarzem sądowym. Stwierdzono u zmarłego 5 cięć śmiertelnych, szerokości 2 ctm. Cztery rany zadano w głowę, jedną powyżej lewej łopatki. Dotąd sprawcy tajemniczej zbrodni nie wykryto.

**Runięcie murów zamkowych.** Wskutek długotrwałej ulewy osunęła się i zawaliła część muru i szańców, okalających zamek złoczowski w Galicyi wschodniej. Zawalenie się nastąpiło od strony zachodniej przy boisku, podówczas na szczęście pustem. Katastrofa grozi i pozostałym szańcom, jeżeli nie będzie zarządzona rychło konieczna naprawa.

**Dziki żart.** Na barbarzyński i dziki żart zdobył się pewien zapalacz lamp w Bielsku Spotkał on na jednej z ulic znajomą robotnicę i bez żadnej przyczyny przyczepił się i nagle, słowa nie mówiąc, przyłożył płonącą pochodnię do warkocza dziewczyny.



Biedna dziewczyna utraciła część włosów i nadto odniosła ciężkie poparzenia na całej głowie. Niegodziwca aresztowano. — Przechodnie, którzy byli świadkami zdarzenia, nie posiadali się z oburzenia. Byliby odrazu gorącą łaźnię urządzili sprawcy dzikiego żartu, gdyby go była policya nie obroniła.

**Zbieg bułgarski na Śląsku.** W Karwinie, na Śląsku, aresztowano 20-letniego mężczyznę, nie posiadającego przy sobie żadnych papierów. Na policyi zeznał on, że jest zbiegiem bułgarskim z niewoli tureckiej. Walczył przeciw Turkom pod Adryanopolem. Przed czterema miesiącami dostał się w ręce Turków. Transportowany do Saloniki, zdołał zbiedz i na nieznanym okręcie dostał się do Abacyi. Od tego czasu błąka się pieszo i dostał się w ten sposób aż na Śląsk. Biednemu tułaczowi dostarczono w Karwinie pracy, aby mógł sobie coś zarobić i wrócić do ojczyzny.

**Słoń w minarecie.** Pomiędzy dyrektorem zoologicznego ogrodu w Budapeszcie a budapeszteńskim posłem tureckim wybuchł spór. Mieszkający bowiem w Budapeszcie przemysłowcy tureccy od dłuższego już czasu gniewają się o to, że stajnia dla słonia w zoologicznym ogrodzie zbudowana jest w stylu minaretu (świątyni). Już dawniejszy poseł turecki protestował przeciw temu kilkakrotnie, osiągnął jednak tyle tylko, iż z minaretu zdjęto półksiężyc. W tych dniach przyjechał do Budapesztu jakiś Turek, który też udał się do ogrodu

zoologicznego. Ujrzawszy minaret, chciał się pokłonić jakież jednak było jego oburzenie, gdy w minarecie ujrzał słonia. Dotknięty w swych religijnych uczuciach, udał się do posła, który obiecał, że jeszcze raz przeciw temu zaprotestuje.

**Cholera.** Donoszą, że w Zagrzebiu, stolicy Chorwacyi, w zeszłym tygodniu było 30 wypadków cholery, 15 wypadków jeszcze nie zbadano. Z Wiednia zaś donoszą, że 26 sierpnia przyjechał do Wiednia z Salonik przez Budapeszt niejaki Aron Pardo, a dnia 30 sierpnia wzięto go do szpitala Franciszka Józefa, gdyż w drodze do Serbii Pardo zachorował, zaś badanie stwierdziło u niego cholerę azyatycką. Przebieg choroby jest dotychczas łagodny.

Epidemia cholery szerzy się coraz bardziej wśród wojsk rumuńskich: liczba wypadków zachorowania na cholerę wynosi już zastraszającą cyfrę 3200, z tych znaczny procent śmiertelny. Pomimo to cofanie wojsk z granic Bułgaryi trwa w dalszym ciągu.

**Rezerwista udaje się do pułku z dzieckiem.** Do jednej z gazet pisze korespondent, przedstawiając następującą historyę z życia rezerwisty, powołanego pod broń: Nasz szewc w kompanii otrzymał po dłuższej służbie — urlop 14-dniowy. Wróciwszy do swej ojczyzny, Andrychowa, zastał mieszkanie zamknięte, żona zaś, która z nim żyła kilkanaście lat, zniknęła wraz z dwojgiem dorastających dzieci. Trzecie dziecko, mały chłopczyk był pozostawiony u burmistrza i w dniu powrotu »doręczony« został ojcu, z urzędowem nadmienieniem, że gmina miasta Andrychowa nie posiada funduszów na żywienie dzieci. Biednemu szewcowi nie pozostało nic innego, jak westchnąć pobożnie do patrona swego fachu, św. Kryspina i dzieciaka zabrać. Wróciwszy do garnizonu, zameldował się do raportu. Obok niego stał dwuletni chłopczyk i salutował wraz z swoim ojcem przed pułkownikiem.

— Co mam zrobić z tem dzieckiem? — zapytał oficer.

— Melduję posłusznie, panie pułkowniku, że ja także nie wiem, co z niem zrobić! — brzmiała odpowiedź rezerwisty.

Chłopiec został przy pułku. Dostał mały mundur i szabelkę, no i kiedyś... będzie może chlubą armii.

**Nasi w Slawonii i Bośni.** Polskie Towarzystwo Emigracyjne, które każdego roku organizuje objazdy po koloniach polskich na wychodźtwie i podróże informacyjne, w celu badania stosunków zarobkowych, również w bieżącym roku wysłało swego urzędnika p. Fl. Nawackiego do Slawonii i Bośni. W Slawonii udało się zapewnić 200 naszym robotnikom lasowym zajęcie przy wyrębie tamtejszych borów na bardzo korzystnych warunkach. Stamtąd udał się p. Nawacki do Bośni i odwiedził kolonistów polskich, naszych rodaków, których w tym kraju osiadło z górą 10 tysięcy. Osadnikom naszym w Bośni powodzi się nie najlepiej, bo grunta są nieurodzajne, niema dobrego zbytu na płody rolne, a ponadto rząd, przy rozdawaniu gruntów przyrzekł intabulować je po 10 latach na własność osadników, o dotrzymaniu przyrzeczenia nie myśli, choć mija już i 20 lat, jak niektórzy przybyli do Bośni. — Szkół i kościołów polskich prawie że niema, gazetę polską i książkę rzadko gdzie ujrzeć. Ażeby wspomódz braci naszych w Bośni w dążeniu do oświaty, P. T. E. już przed rokiem wysłało na jedną z tamtejszych kolonij kilkadziesiąt książek, które, jak stwierdził na miejscu p. Nawacki, spełniają dobrze swoje zadanie, bo nie walają się po szafach w zapomnieniu, ale ciągle krążą przez dziesiątki rąk. Działalność P. T. E. staje się coraz bardziej wszechstronną, jak widzimy z powyższych przykładów, Nic więc dziwnego, że ruchliwa instytucya ta zyskuje w społeczeństwie coraz większe wzięcie, dowodem czego jest choćby zapisywanie się na listę członków Towarzystwa już nietylko jednostek tak z pośród inteligencyi, jak i samych wychodźców, ale także Rad powiatowych, gminnych, stowarzyszeń oświatowych i t. d. Przykład pod tym względem uczyniły Wydziały Rad powiatowych w Pilźnie i Tarnobrzegu, przystępując do P. T. E. w charakterze członków. Przykład to godny naśladowania ze strony Kółek rolniczych, Kół T. S. L. i wszystkich innych instytucyj społecznych, oświatowych i obywatelskich. Wkładka członka zwyczajnego P. T. E. wynosi rocznie tylko 4 kor. i uprawnia do korzystania z rozmaitych świadczeń ze strony Towarzystwa.

**Spór językowy z krwawym wynikiem.** W jednej z gospód w Morawskiej Ostrawie wszczęli spór o kwestę równouprawnienia językowego dwaj robotnicy, jeden Czech, drugi Niemiec. Spór przeszedł w gwałtowną kłótnię, tem zacieklejszą, że obaj przeciwnicy wcale nawzajem się nie rozumieli. Skutkiem też tego widocznie nie mogło przyjść do porozumienia. Zniecierpliwiony daremną kłótnią Czech wyjął z kieszeni węża gumowego i tym dosadnym argumentem zajechał swemu przeciwnikowi niemieckiemu w głowę. Niemca przewieźć musiano do szpitala, Czecha do odwachu policyjnego, kwestya zaś sporu dalej pozostała niezałatwiona.

**Uroczystości na Jasnej Górze.** W niedzielę dn. 31 sierpnia klasztor jasnogórski w Częstochowie obchodził niezwykłą uroczystość poświęcenia stacyi Męki Pańskiej. Stacye te są to wspaniałe grupy figur i jako dzieła sztuki przedstawiają dużą wartość. W uroczystościach tych miało wziąć udział sześciu biskupów, władze rosyjskie na to się jednak nie zgodziły, pozwalając jedynie na przyjazd do Częstochowy biskupów sąsiednich dyecezyj, mianowicie ks. biskupa Łosińskiego (dyecezya kielecka) i ks. biskupa Zdzitowieckiego (dyecezya kujawsko kaliska). Udział więc innych dostojników Kościoła w uroczystościach poświęcenia stacyi Męki Pańskiej, był wobec zakazu władz niemożliwy. Uroczystości wypadły jednak wspaniale, brały bowiem w nich udział tysiące pobożnego ludu.

**Klęska w pszczelnictwie.** Donoszą z Królestwa, że z różnych stron kraju nadchodzą wiadomości, że z powodu deszczów i zimna rok bieżący jest niezwykle ciężki dla pszczół. Wiele pszczół w pogoni za pracą ginie i nie powraca do pasiek. Słabsze roje z głodu wyrzucają żywy czerw z plastrów, nie mając go czem karmić. Już obecnie w niektórych miejscowościach pszczelarze żywią pszczoły

**Nie umierają w szabas.** Pewien żyd ze Starych Sosnowic, w Królestwie, utonął w piątek, a zwłoki jego wydobyto z wody już w sam szabas. Zamiast wziąć się do zwykłych obrządków, żydzi posadzili umarłego w pokoju, jakby nigdy nic. Dopiero po szabasie podnieśli w całym domu krzyki i rozpoczęli przygotowania do pogrzebu. Jeden ze świadków zapytał żydów o przyczynę takiego postępowania. Odpowiedziano mu, iż w sobotę żaden żyd umrzeć nie może, bo duszy niewolno odprawiać wędrówek w szabas. Sam Bóg zajęty jest czytaniem talmudu i nie może się odrywać do spraw ziemskich.

**Sprzedaż dyabła.** O niezwykłym przejawie ciemnoty, którą tak skwapliwie rząd moskiewski podtrzymuje, donoszą z Sosnowca: Pewien robotnik ogarnięty manią poszukiwania skarbów w ziemi, daremnie kopał w Zagłębiu, nie mogąc nigdy nic znaleźć. Wreszcie sąsiadka jego zaofiarowała mu swą pomoc, zobowiązując się dostarczyć na własność dyabła,

któryby wskazywał swemu panu miejsca, gdzie są ukryte skarby. Uradowany poszukiwacz chętnie dał kobiecie wszystkie swe oszczędności w kwocie 230 rubli na kupno dyabła. Kobieta jednak zażądała za dyabła 400 rubli. Po dłuższych targach sprytna kobieta zgodziła się na sprzedanie robotnikowi dyabełka bardzo maleńkiego, którego trzeba było jeszcze przez kilka tygodni hodować bardzo umiejętnie. — Roli mamki małego dyabełka podjęła się owa kobieta za wynagrodzenie 5-rublowe na tydzień. Robotnik płacił, czekał cierpliwie przez kilka tygodni, nareszcie zaczął się upominać o dyabła coraz natarczywiej, a gdy zagroził procesem, mamka została zniewolona pokazać dyablątko. Zaprowadziła tedy robotnika do piwnicy, gdzie poszukiwacz skarbów ujrzał przy mdłem światełku czerwonej latarni jakiegoś potworka, podobnego do żaby, który miał być właśnie owym dyabełkiem. Poszukiwacz skarbów został jednakże okrutnie ukarany za swą ciekawość. Dyablątko, przerażone widokiem człowieka, zdechło. Tak przynajmniej utrzymuje mamka dyabelska, która zdołała już wyłudzić od niedoszłego właściciela piekielnego sługi przeszło 250 rubli. Cała ta sprawa została oddana do sądu. — Mamka dyabelska dostała się pod klucz.

**Walka synodu prawosławnego z rzeźbami.** Synod prawosławny rozpoczął w ostatnich czasach niedorzeczną wprost walkę przeciwko pomnikom i wizerunkom zmarłych na cmentarzach. Dużo rozgłosu narobił zakaz wzniesienia na grobie prezesa pierwszej Dumy państwowej, Muromcewa, pomnika z popiersiem zmarłego. Ponieważ zarzucano synodowi, że kieruje się w tym wypadku względami politycznymi, gdyż na cmentarzach prawosławnych spotykają się często pomniki z wizerunkami zmarłych, synod obecnie wydał rozporządzenie, aby istniejący w Ławrze Pieczerskiej w Kijowie pomnik figuralny ks. Konstantego Ostrogskiego i biust hr. Rumiancewa Zadunajskiego zostały stamtąd usunięte. Na razie wobec trudności tego »usunięcia« pomniki owe zabito po prostu deskami. Podobno jednak synod zamierza w całem państwie przeprowadzić rewizyę cmentarzy i pousuwać stamtąd biusty i wizerunki zmarłych. — Trudno sobie wytłómaczyć, co kieruje w tym wypadku postanowieniami tej najwyższej władzy prawosławnej. Co jej zawadzają popiersia zmarłych na cmentarzch. Podobnie niedorzeczne zarządzenia tylko w Rosyi są możliwe.

**Syn zastrzelił matkę.** W Nowejwsi Rojowskiej, w powiecie inowrocławskim, w Poznańskiem, własną matkę zastrzelił 15 letni syn gospodarza Kriewalda. Ojciec zabrał z sobą w pole nabitą strzelbę. Przekonawszy się, że strzelba przy żniwie jest niepotrzebna, odesłał ją przez swojego syna do domu. Syn ostrożności zbytnio nie przestrzegał, bo nagle padł strzał i jednocześnie rozległ się krzyk jego matki, którą nabój ugodził w plecy i pozbawił na miejscu życia.

**Białe kuropatwy.** Ze Śląska pruskiego donoszą, że w pewnej okolicy zauważono w jednem stadzie kuropatw niezwykły kaprys natury; wylęgły się w niem bowiem 4 białe kuropatwy; jednę z tych zastrzelono podczas polowania, a trzy uciekły. Zabita kuropatwa niema ani jednego szarego piórka.

**Łapichłop przed sądem.** W Berlinie rozpoczął się wielki proces przeciw obywatelowi brazylijskiemu Broneniusowi, który zobowiązał się wobec rządu brazylijskiego sprowadzić z Europy 4000 ro rodzin za 100 milreisów (130 kor.) od rodziny. Agent ów obiecywał wychodźcom złote góry, za co prokurator pruski chce go pociągnąć do odpowiedzialności.

**Napad bandytów na samochód.** We Włoszech kwitnie w najlepsze rozbójnictwo, czego dowodem zorganizowane bandy, dokonujące bezprzykładnie śmiałych napadów na publicznych drogach. Nie tak dawno bandyci zastawili drogę koło Neapolu wielkim pniem i usiłowali zatrzymać samochód pewnego przemysłowca.



Samochód, pędzący jednak z szaloną szybkością, przejechał przez przeszkodę, a siedzące w nim towarzystwo zdołało się ocalić. Bandyci posłali wprawdzie za uciekającymi grad kul, lecz na szczęście nikogo nie zraniły. Wypadek ten przedstawia nasz obrazek.

**Wartość nieobecnej żony.** Ile warta jest nieobecność żony, oszacował niedawno pewien sędzia francuski. Szło o żonę pewnego lekarza, która mając go widać dość, opuściła go. Chciała się z nim rozwieść, ponieważ jednak mężowi nie można było nic zarzucić, rozwodu nie dało się przeprowadzić. Wobec tego pani doktorowa wyprowadziła się i postanowiła nie wracać. Ten, nie chcąc rezygnować z swego szczęścia, kilkakrotnie wzywał żonę, aby powróciła, a gdy ona wezwaniom tym nie chciała uczynić zadość, postanowił sądownie zmusić ją do tego. Sąd przyznał mu słuszność i dał mu prawo domagania się odszkodowania pieniężnego. Za każdy dzień nieobecności miała żona płacić 100 franków. To pochlebne oszacowanie wydało się jednak pani doktorowej trochę za wysokie, wobec czego apelowała. Trybunał apelacyjny obalił poprzedni wyrok, określił jednak wysokość poszkodowania za każdy nieobecny dzień na 25 franków. Rocznie przedstawiałoby to okrągłą sumkę 9 tysięcy franków, co takiemu opuszczonemu małżonkowi może przecie smutną dolę osłodzić.

**Obrona Anglii.** W przyszłym roku odbędzie się w Londynie konferencya, poświęcona kwestyi obrony granic całego państwa angielskiego, a więc Anglii właściwej i kolonii. W konferencyi tej weźmie udział angielski prezydent ministrów, minister wojny i minister marynarki. Oprócz tego wezmą udział w naradzie prezesowie ministrów i ministrowie wojny samodzielnych kolonij angielskich. Rząd Kanady w Ameryce wystąpił z projektem, aby konferencya odbyła się tamże. Rząd angielski propozycyę tę odrzucił z tego względu, że w Londynie znajdują się pod ręką wszystkie dokumenty i wyjaśnienia co do obrony angielskiego państwa.

**Małżeństwo albo burmistrzostwo.** W ciekawem położeniu znajduje się burmistrz miasta angielskiego Cambridge, Edward Barry. Kobiety ogłosiły, że jeśli się nie ożeni, straci swą posadę. Pan Barry kandyduje obecnie na burmistrza trzeci raz. Kiedy kandydował drugi raz, dały mu kobiety swe głosy tylko pod warunkiem, że się ożeni. Barry przyrzekł, jak zwykle przyrzeka każdy kandydat, ale przyrzeczenia nie dotrzymał. Kiedy został burmistrzem, na upomnienia kobiet odpowiadał uśmiechem.

Przyszła wreszcie »koza do woza«; podczas tych wyborów kobiety powiedziały, że oddadzą mu swoje głosy tylko wówczas, jeśli się ożeni. Wybór trudny, bo i wolność i burmistrzostwo mają swoje zalety. Barry tłumaczył się, iż nie znalazł jeszcze odpowiedniej dla siebie żony. Źle na tem wyszedł, ponieważ kobiety zasypują go fotografiami różnych młodych osób, z których każda jest najodpowiedniejsza. Rzecz jest zrozumiała, skoro się zważy, iż Barry jest stosunkowo młody, przystojny i bogaty.

**„Zuchy Niemcy“.** Dzienniki angielskie opisują zabawną przygodę Amerykanina, podróżującego po Niemczech. Amerykanin przyjechał samochodem własnym na pole ćwiczeń wojskowych i przyglądał się z ciekawością manewrom samochodów wojskowych do przewożenia chorych. Aby się módz zbliska przyjrzeć ćwiczeniom, Amerykanin pozostawił poza ogrodzeniem pola ćwiczeń samochód, a sam, wraz ze swym palaczem, wemknął się między widzów na pole. Naraz jednemu z samochodów wojskowych wydarzył się przypadek — pękła oś. Oficer natychmiast rzucił jakiś rozkaz, którego Amerykanin nie zrozumiał i w jednej chwili kilku żołnierzy pobiegło gdzieś kłusem. Po chwili wrócili, niosąc już oś nową.

— Zuchy Niemcy! — zawołał Amerykanin w podziwie — na wszystko są przygotowani.

Gdy wrócił do swego samochodu, zobaczył, że — brakuje mu osi...

Amerykanin znów coś zawołał, co brzmiało, jakby:

— Szelmy Niemcy!

**Nowe marki pocztowe albańskie.** Od kilku dni listy wysyłane z Durazzo, Valony i Argyrokastron mają na starych tureckich znaczkach pocztowych druk, przedstawiający dwugłowego orła. Znaczki takie kursować będą tylko krótki czas, a mianowicie do chwili zaprowadzenia nowych znaczków albańskich, które są już przygotowane.

**Walka z pchłami.** Konstanty, król grecki, nie miał dotychczas sposobności, mieszkając w czystych komnatach dworu, wejść w zażyłość... z pchłami. Poznał je dopiero podczas obozowania wojska w Macedonii, gdzie w brudnej lepiance była urządzona kwatera generalna. Obsiadły króla złośliwe czarne owady, usadowiły się w bieliźnie i nawet w czapce. Gazety greckie podają zabawną wiadomość, że w jednym z rozkazów dziennych do armii król zaleca walkę z pchłami, wskazując szkodliwość tego owadu dla sprawności marszów, dobrego wyglądu żołnierza i jego — odwagi. Generalicya sztabowa zwróciła uwagę króla na prawdę nieco już przestarzałą i na bezsilność wojska wobec tego wroga. Wróg ten zresztą jest wiernym, starym towarzyszem wszystkich ludów.

**Kobiety chińskie.** W Chinach mąż ma prawo bić żonę pod warunkiem, że nie porani jej do krwi. Gdyby żona poskarżyła się przed sądem, otrzymałaby jeszcze sto rózg. Niewiasty chińskie nie chcąc dłużej znosić tego przywileju mężczyzn, wystosowały do prezydenta rzeczypospolitej chińskiej, Juanszikaja, memoryał, żądający przynajmniej — równouprawnienia, t. j. aby i one miały prawo bić mężów.

**Wydobycie z dna morza statków wojennych.** Jak z Petersburga donoszą, Japończycy przystąpili do wydobycia z dna morza zatopionych przez się rosyjskich statków wojennych. Od rządu japońskiego zakupił je pewien przedsiębiorca, który przystąpił do wydobycia z dna pancernika »Petropawłowsk«, który zatonął pod Portem Artura. Wraz z »Petropawłowskiem« zatonęła wówczas kasa floty rosyjskiej w kilku milionami rubli, które staną się własnością przedsiębiorcy.

**Kobiety na licytacyi.** Japończycy przyswoili sobie od Europy wprawdzie wszystkie jej zdobycze na polu techniki, zwłaszcza wojennej, nie przyswoili sobie jednak jej pojęć. To też najbardziej różnią się od nas sposobem odnoszenia się do kobiet. Nie można powiedzieć, by źle obchodzili się z niemi, na to są zbyt uprzejmi, uprzejmość ich jednak w stosunku do matek, żon czy sióstr dziwnego jest rodzaju. Jest to uprzejmość, którą okazuje dobrze wychowany pan swej służbie.



Dla Japończyków kobieta jest tylko niezbędnym sprzętem, bez którego brakłoby czegoś w domu. Europejczyków, którzy bywali w domach japońskich, uderza, iż nigdy nie przedstawiano im tam pani domu, a nawet nigdy o niej nie wspomniano. A gdy ktoś, nie mogąc wstrzymać ciekawości, zapytał o panią, dowiedziałby się ze zdumieniem, że widział ją, wchodząc do domu, w przedsionku jeszcze, gdzie zdejmowała mu z nóg trzewiki, podając pantofle. Wśród takich stosunków nie jest dziwnem, że w niektórych okolicach Japonii można dotąd kupić sobie piękną Japonkę na licytacyi. Rycina nasza przedstawia właśnie taką licytacyę.

**Uroczystość żałobna na morzu.** Dnia 30 lipca odbyła się na wodach Oceanu Atalantyckiego, w tem miejscu, gdzie przed rokiem zatonął okręt »Titanik«, niezwykła uroczystość żałobna. W dniu tym stanął tam okręt »Frankonia« i złożył na wodzie wieniec wawrzynowy, w celu uczczenia jednej z ofiar katastrofy, znanego redaktora angielskiego, Wiliama Steada. Orkiestra okrętowa zagrała hymn, przy którego dźwiękach zatonął »Titanik«. Na pokładzie »Frankonii« znajdowało się kilku członków rodziny Steada oraz 1500 osób.

**Zarobki studentów amerykańskich.** Studenci amerykańscy nie wstydzą się żadnej pracy, by tylko zdobyć środki, potrzebne do studyów. Jak opowiada »Amerykański przegląd przeglądów« miewają nieraz świetne pomysły, które wykonują każdy na własną rękę, lub łącząc się w spółki i miewają często niezłe dochody. W uniwersytecie Princeton istnieje spółka studentów, która ma na celu wyłącznie zarobek. Za niewielkiem wynagrodzeniem spółka ta zobowiązuje się utrzymać garderobę studentów. Spółka ta składa się obecnie z przewodniczącego, sekretarza i dziewięciu członków. Stale opłacany przez nią krawiec, udaje się kilka razy na tydzień do gmachu uniwersytetu, by naprawiać podarte ubrania studentów, którzy płacą za to spółce niewielką sumę miesięcznie. Przed kilku laty w tym samym uniwersytecie powstało inne przedsiębiorstwo, które przyniosło dość znaczne dochody. Pewien student zauważył, że o godzinie 8 wieczorem, wszyscy niemal jego koledzy wychodzą z domów i udają się do parku. Pewnego dnia student ów wpadł na pomysł,

by uprzyjemnić kolegom swoim ów odpoczynek w parku, kupił więc kilka funtów czekolady, piecyk przenośny, ustawił go w parku — i zaczął gotować czekoladę, sprzedając filiżankę po 20 halerzy. Interes zaczął iść odrazu świetnie. Odbiorcy wyrazili wkrótce życzenie, by prócz czekolady, kupić było można i chleb z masłem i szynką, wobec czego przedsiębiorstwo wzrosło tak dalece, że założyciel musiał wziąć do spółki drugiego kolegę.

**Stan małżeński przedłuża życie.** Zostało to teraz cyfrowo stwierdzone w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, które od lat czterech poczęły prowadzić statystykę śmiertelności nietylko z uwzględnieniem płci i wieku, ale i małżeństwa. Ze statystyki tej okazuje się, że liczba śmiertelności mężczyzn żonatych jest w każdej grupie lat, od 20 do 80 roku życia o wiele mniejsza, aniżeli liczba śmiertelności kawalerów. Tylko w najstarszym wieku ponad 80 lat śmiertelność żonatych i kawalerów jest prawie równa. Oczywiście istnieją bardzo ważne powody tej większej śmiertelności kawalerów, aniżeli mężczyzn żonatych. Przedewszystkiem mężczyźni fizycznie i duchowo zdrowi są bardziej skłonni do zawierania małżeństwa, aniżeli mężczyźni słabowici. Powtóre, mężczyźni żonaci żyją znacznie regularniej, aniżeli kawalerowie, których nieregularność życia jest wprost przysłowiowa. Mężczyźni żonaci czują też pewną od powiedzialność za żonę i dzieci — więc często rezygnują z jakiegoś poważniejszego przedsięwzięcia i zwracają się zawsze ku spokojniejszemu zawodowi. Statystyka, o której piszemy, stwierdza jeszcze jedną rzecz dość osobliwą, mianowicie, że śmiertelność ludzi rozwiedzionych jest nietylko wyższa od śmiertelności mężczyzn żonatych, ale nawet od śmiertelności kawalerów. Wdowcy i rozwiedzeni mężczyźni w okresie od 20 do 30 lat życia posiadają prawie podwójnie tak wysoką śmiertelność, jak kawalerzy tegoż samego okresu a w innych okresach życia wykazują rozwiedzeni podwójnie tak wielką śmiertelność, aniżeli żonaci mężczyźni odnośnych okresów życia. Pewien profesor amerykański takie na ten temat wygłosił zdanie. Jeżeli mężczyźni tracą żony, to tracą tyle widoków na dłuższe trwanie życia ile im zapewniało małżeństwo, a w ogólności tracą tem więcej, im więcej są młodszymi.

**Podziękowanie.** W powiecie brzeskim w gminie Woli Przemykowskiej, tuż u ujścia rzeki Uszwicy do Wisły, znajduje się starszy most, łączący tę miejscowość z gminą Księże Kopacze. Most ten jest bardzo ważną komunikacyą i stanowi jedyne połączenie dla tychże gmin, przez most ten przewożą mieszkańcy gminy Woli Przemykowskiej swoje plony z Księżych Kopacz, gdzie swoje grunta posiadają. Ponadto most ten stanowi życie i śmierć dla włościan Księżych Kopacz, którzy w razie tak często tamte strony nawiedzających powodzi, przez most ten, jako jedyną dla nich komunikacyę, z życiem i dobytkiem, uciekają. Przeszłego roku jesienią zapadł na ten most wyrok śmierci, gdyż miano go, jako niby niepotrzebny, zupełnie usunąć. Że do tego nie przyszło, zawdzięczamy jedynie usilnej interwenwencyi naszego posła Dra Matakiewicza, który w grudniu 1912 na miejscu sprawę zbadał i za nami się ujął tak, że mostu nietylko nie zniesiono, ale go naprawiono. Obecne powodzie uszkodziły znów tak poważnie ten most, że grozi natychmiastowem zawaleniem, stał się do użytku zupełnie niemożliwym. Z doświadczenia wiemy, jak długo o naszych władz na załatwienie najpilniejszych spraw czekać trzeba. To samo czekało i naszą prośbę o naprawę mostu.

W tem d. 24 sierpnia zjawia się nasz poseł Dr Matakiewicz i po zbadaniu sprawy przez niego uzyskaliśmy tyle, że już 26 sierpnia zjechała komisya i przygotowania do natychmiastowej naprawy mostu poczyniła. Ufamy, że przy pomocy naszego p. posła nietylko ten stary most nam naprawią, ale niedługo do budowy tak koniecznie potrzebnego nowego mostu przystąpią. Na tej drodze składamy posłowi Matakiewiczowi za jego trudy i starania serdeczne podziękowanie staropolskiem »Bóg Ci zapłać!«

*Mieszkańcy gminy Wola Przemykowska i Księże Kopacze.*

**Podziękowanie „Wiśle“** Ludowemu Towarzystwu wzajemnych ubezpieczeń we Lwowie.

Wojkówka dn. 7 sierpnia 1913.

Niniejszem poczuwamy się do obowiązku złożenia publicznie podziękowanie jedynemu Ludowemu Towarzystwu wzajemnych ubezpieczeń »Wisła« za nadspodziewanie rychłe i sumienne zlikwidowanie szkody, zrządzonej pożarem d. 4 sierpnia b. r. o godzinie 1 po południu. Już na czwarty dzień po wypadku przybył ze Lwowa likwidator »Wisły« i oszacował szkodę nadzwyczaj sumiennie i prędko, a nadto przedstawił oszacowanie swoje również mężom zaufania, aby i ci swoje zdanie wyrzekli, przystając na ich decyzyę. Gdy przeto ciż orzekli, że pozostała niespaloną część domu, wartości 200 kor., Towarzystwo »Wisła« wypłaciło do rąk moich kwotę 1000 kor., gdyż cały budynek ubezpieczony był na kwotę 1200 kor. Za tak sumienne i gorliwe postępowanie składamy na tej drodze serdeczne »Bóg zapłać!«

*Karolina* i *Jan Jarzyna* m. p.

## Odpowiedzi Redakcyi.

**Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.**

PP.: Jan Nowak w E.: Prenumeratę ma Pan zapłacona do 1 października, na czas dalszy lepiej zawczasu przysłać pieniadze, aby nie było przerwy w wysyłce. Poczatek powieści posłaliśmy. — Franciszek Wiatr w Ch.: Do druku trzeba koniecznie pisać po jednej stronie papieru i bardzo wyraźnie, gdyż inaczej musielibyśmy przepisywać a na to nie mamy czasu. — Jan Stagowski w D.: W sierpniu przez dwa tygodnie nie było mnie w Krakowie, więc nie mogłem w oznaczonym czasie odpowiedziec. — Jan Stawski w N.: Kalendarz już dajemy arkuszami do druku; gdy będzie skończony, ogłosimy. — Walenty Stypuła w Z.: Cieszy nas, że ksiażka o Maćku Bzdurze tak się podobała; kto ja tylko nabędzie, jest z niej bardzo zadowolony. — Daniec w R.: Artykulik: »Pożegnanie kapłana-obywatela« odbity nieczytelnie; prosimy o wyraźna odbitkę a umieścimy

### Potwierdzenia prenumeraty.

Półroczna prenumeratę nadesłali PP.:

Gudz Walenty z G.: Bochniak z T., Jurkiewicz Zofia z S. R., Lempart Ludwik z Z., Rzońca Tomasz z M.

Oprócz tego nadesłali PP.: Jan Konieczny z H. 1 K., Kazimierz Skwarcan z B. 1·50 K.

**Ceny zboża** na targu Kleparskim w Krakowie w d. 1 września:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Pszenica | Kor | 10·75 | do | 11·25 | za 50 kg |
| Żyto | „ | 8 20 | „ | 9·— | „ |
| Jęczmień | „ | 8.40 | „ | 9 05 | „ |
| Owies | „ | 9·80 | „ | 10·25 | „ |
| Otręby pszenne | „ | 5·80 | | 6 00 | „ |
| Otręby żytnie | | 5 80 | „ | 6 00 | |

**Ceny bydła** na targowicy krakowskiej w dniu 1 września:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Buhaje | Kor. | 100 | do | 200 | za sztukę |
| Woły | „ | 210 | „ | 300 | „ |
| Krowy | „ | 135 | „ | 280 | „ |
| Jałówki | „ | 80 | „ | 290 | „ |
| Cielęta | „ | 30 | „ | 80 | „ |
| Owce i kozy | „ | 20 | | 46 | „ |
| Świnie bita waga) | „ | 160 | „ | 184 | za 50 kg. |

# Zagadki do nagrody.

## 1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożyła W. Ogińska).

```
        +
      . + .
    . . + . .
  . . . + . . .
+ + + + + + + + +
  . . . + . . .
    . . + . .
    . . + . .
      . + .
        +
```

1) Spółgłoska. 2) Potrzeba koniecznie w wierszach. 3) Przedstawiciel. 4) Imię męskie. 5) Utwór tego poety. 6) Miasto. 7) Inaczej niewolnicy. 8) Zwierzątko małe. 9) Papier urzędowy. 10) Samogłoska.

Środkowe litery czytane z góry na dół dadzą nam nazwisko poety, a poziome jego utwór.

## 2. KWADRAT.

(Ułożył Franciszek Zydroń).

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| a | a | a | a | a | Słabość. |
| a | a | a | a | a | Miara papieru. |
| k | k | k | k | k | Ogrodzenie. |
| r | r | r | r | r | Krzew. |
| t | t | t | t | t | Próba metali. |

## 3. SZARADA.

(Ułożył Jędrzej Mateja).

Pierwsze z trzeciem w lesie bywa;
Drugie z trzeciem w wodzie pływa;
Pierwsze z drugiem, któż to powie —
Nasza krówka tak się zowie.
Całość jest wszędzie znana,
W gospodarstwie chodowana.

## 4. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Zydroń).

Pierwszy piecze, drugi ciecze,
Jak się ona całość rzecze?

## 5. SZARADA.

(Ułożył Jan Malinowski).

Wspak pierwsze to spółgłoska, samogłoska [drugie,
A trzecie to nazwisko poety niedługie;
Wszystko wraz miasto znane w uroczej krainie,
Które tam już oddawna taka chlubą słynie,
Że kto je raz zobaczy na świata przestworze,
Nie patrząc, syt piękna, w grób już kłaść się [może.

## 6. SZARADA.

(Ułożył Wład. Łukasik).

Pierwsze drugie on na błoniu,
Trzecie drugie wkoło niego,
Trzecie pierwsze on na koniu
Umieścił, klepiąc karego,
Pierwsze rzekłszy, znikł na drodze.
W domu gospodarz znów srodze
Biada doń: »Ej, chyba miodu
Mieć nie będziem i zachodu
Szkoda naszego na całość.

## 7. SZARADA.

(Ułożył Franc. Filek).

Piersze czwarte gdy zobaczymy, to się kłaniamy,
Pierwsze i trzecie, to w sklepach wołamy,
Aby tem zbrudzone obuwie wyczyścić;
Pierwsze i drugie przy drogach mamy,
By czego nie zniszczyć.
Całość nie nasza, ale nam jest znana,
Bo posiadała najwyższego pana.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykłe, pięknie oprawną książkę

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 13 września 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 34 »Roli«: 1. Łamigłówka: **Zagłoba.** 2. Bilet: **Dyrektor.** 3. Szarada: **Kolosy.** 4. Zagadka: **Kanał.** 5. Szarada: **Krakusi.** 6. Łamigłówka: **Poznać głupiego po śmiechu jego.** 7. Szarada: **Gorączka,** 8. Szarada: **Owoce.** 9. Szarada: **Jawory.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali PP.: Stanisław Musiał z N., Jan Rydz z W., Janina Midowicz z S., Franciszek Teper z M. K., Wojciech Michno z Ł., Józefa Hirszberg z K., Kaziu Nekvapil z N. S., Piotr Bochnia z T., Józef Waszek z J., Józef Kołatek z S., Władysław Gąsior z Rz., Józef Synowiec z S., Arkadyusz Szarek z S. W., Mateusz Wrona z K., Franciszek Zydroń z D.

Nagrodę p. t. ***Szary proch*** wylosował p. Jan Rydz z W.



Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.